

JULJA WIELEŻYŃSKA

ZE STUDJÓW
NAD ASNYKIEM



WARSZAWA

1930

Z KSIĘGOZBIORU
BIBLIOTEKI GŁÓWNEJ
WOJEWÓDZKIEJ
BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ
IM. ADAMA ASNYKA
W KALISZU

JULJA WIELEŻYŃSKA

ZE STUDJÓW
NAD ASNYKIEM



WARSZAWA
1930



|| 33726

884 (091) A/2 : 929 (438) A/2 '19'

DRUKARNIA
KOOPERATYWY
PRAC. DRUK.
WARSZAWA,
ZIELNA 47,
TELEFON 19-57.

Asnyk 4.

SPIS RZECZY.

	Str.
1. Słowo wstępne.	III
2. Asnyk a przyroda	3
3. Dwugłos Asnyka i Konopnickiej	57
4. List Stanisława Krzemińskiego do Adama Asnyka .	83

Słowo wstępne.

Książka niniejsza daje dwa szkice do przyszłej monografji o Asnyku. Na jej charakter przygotowawczy spada odpowiedzialność za znalezienie się w obu kilku identycznych myśli, czego się uniknie, gdy te i inne, dalsze studia zrosną się w przeznaczoną, jednolitą całość¹⁾.

Możność zamknięcia tomu listem Stanisława Krzemińskiego do Asnyka zawdzięczam i serdeczną podziękę za nią składam panu Stanisławowi Piotrowi Koczorowskiemu, który ze zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu list, razem z paroma cennymi książkami, nadesłał na projektowaną przez Komitet Uczczenia Asnyka wystawę pamiątek po Poecie, a następnie przystał łaskawie na pierwsze ogłoszenie drukiem tego zupełnie nieznanego a pięknego dokumentu.

W listopadzie 1929 r.

¹⁾ Rozprawa *Asnyk a przyroda* powstała w kwietniu 1928 r. W maju tegoż roku — w skrócie — odczytałam ją na obchodzie ku czci Asnyka w Wilnie, następnie ukazała się — w niemniej silnym skrócie — w „Przeglądzie Współczesnym” (sierpień 1929). *Dwugłos Asnyka i Konopnickiej* pisałam w lecie 1929

ASNYK A PRZYRODA

„Tak, on jest wszystkim potrochu, po kawałku i to stanowi jego indywidualność. Jednolitości w nim nie szukać, jakiejś myśli stałej, którejby służył wiernie, daremnie się domagać, bo nie ma wiary może nawet we własne przekonania”.

Rzucam wyzwanie temu zdaniu, przychwyconemu z pod pióra jednemu z najrozumniejszych i najwyżej zasłużonych krytyków polskich, — Chmielowskiemu ¹⁾.

W tym wypadku, wobec poety intelektualisty, krytyk intelektualista stracił busolę. Bo Asnyk jest właśnie tak dalece jednością, tak bardzo z jednego odlewu, że dzielenie go na kwestje, wykrawanie z niego zagadnień do specjalnego opracowania jest kaleczeniem go i krzywdą. Aby unaocnić — przykład: *Nad Głębiami*. Na przestrzeni czterystu kilkudziesięciu wierszy cały świat, — od głuszy przedstworzonej, przełęczami setki zagadnień, aż do Polski popowstaniowej. Jedność logiczna, zwarty mur. Jakiż inny poeta, jakaż inna literatura może pokazać podobny mikrokosmos?

Tak jednolity jest Asnyk, że wzięwszy sobie za przedmiot jego stosunek do przyrody, widzę, iż powiedzieć będą musiała o wiele więcej, niż głosi nagłówek, że właściwie będą musiała mówić o całym Asnyku, poobchodzić i zajrzeć we wszystkie kwestje, najbardziej od przyrody dalekie, a jedynie silniejszy niż na innych nacisk położyć na temacie wybranym. Jest u naszego poety tak nierozzerwalne załączenie dzie-

¹⁾ „Zarys literatury polskiej”.

dziny o dziedzinę, że np. jego poglądów na ludzkość, czy nawet na sprawę polską nie można zrozumieć bez znajomości jego poglądów na naturę; najwspanialsza, niepokalana w budowie synteza myślowa wieńczy gmach jego poetyckiego ducha, jak fryz jedną opowieścią nakrywa kolumnadę greckiej świątyni.

Przyroda jest bezustannie obecna na poetyckiej scenie, jest współtwórcza, podsycająca i karmiąca w dziele Asnyka. Stosunek poety do niej nie jest jeden; stosunków jest dużo, najrozmaitszych, właściwie każdy stan ducha, każde przeżycie czy zagadnienie ma swoją przyrodę. Jest przyroda współczynnik miłości, patriotyzmu, sztuki, historii, myśli naukowej i metafizycznej, jest przyroda o kilku obliczach. Najważniejsza, jeżeli tak można określić, brama do ducha Asnyka wiedzie pomiędzy dwoma słupami: między przyrodą, opartą o ludzkość w widoku historycznym, a przyrodą postawioną na myśli, lub patrzącą w myśl bytową. Pierwszą podciągniemy dla skrótu pod nagłówek „Italja”, drugą „Tatry”. Wszystkim innym postaciom przyjrzymy się, krążąc dokoła tych dwu zasadniczych.

Pierwszy raz odezwał się Asnyk do swego społeczeństwa z Włoch. One głos jego, może znany poprzednio przyjaciółom, uczyniły głosem poety polskiego. Musiały wyrzucić na nim wrażenie olbrzymie. Jednak wczesne zetknięcie się jego duszy z nimi mroczy tragizm.

Muszę wejrzeć na chwilę w inną kwestję. Asnyk nazywany był u nas często epigonem romantyzmu. Jest w tym sądzie przynajmniej tyle pomyłki ile w zdaniu Chmielowskiego o jego rozkawałkowaniu. Asnyk to, przeciwnie, największy w całej poezji polskiej klasyk, odpowiednik poetów starożytnych, lub najbardziej rasowo-łacińskich, francuskich i włoskich¹⁾. Piętno literatur klasycznych czy klasyczno-romańskich on jedyny umiał wycisnąć na polszczyźnie.

¹⁾ Tak samo, analizując filozoficzne poglądy Asnyka, walczyć będą z inną utartą omyłką, jakoby poeta był wyznawcą pozytywizmu.

I tu leży ciekawe nieporozumienie. Ten klasyk z duszy i formy jest faktycznie żałobnikiem romantyzmu, najczulszym strażnikiem jego polskiego grobu, — przez okoliczności narodowe, przez zimną pozytywistyczną spóczesność. Pewnie narodzony w sercu romantyzmu, Asnyk byłby czystej wody i swobodnie przyznającym się do tego klasykiem; stało się, że człowiek, dla którego narodzinami twórczej duszy i dramatyczną osią rozwoju był zgon romantyzmu w popielisku powstańcem, jako budowa duchowa okazuje się właśnie najbardziej romantyzmowi daleki. Zobaczmy jak obce lub wręcz niemiłe były mu wszystkie pokolei pierwiastki, składające się na psyche romantyczną, prócz przypadkowego, czysto polskiego rysu: prócz narodowo przewodniej misji poetów.

W Italji Asnyk znalazł się po raz pierwszy w r. 1864, bezpośrednio po ujęciu zagranicę, z chorym na tyfus przyjacielem, którego do śmierci pielęgnował w szpitalu i którego do tułaczego grobu ułożył. Sam był w stanie ducha budzącym trwogę. Myśl błędnie krążyła koło przegranej sprawy. Wszystko było za nim — przed nim nic. I pierwsze odezwanie się ziemi włoskiej do niego potrafiło tę właśnie jedynie żywą strunę. Zadzwijała w Neapolu jakaś nieoczekiwana wspólność między „przeszłością szumiącą zatoką” a wędrowcami, „nad którymi już przeszłość zapadła”. W swoim debiucie twórczym, w *Podróżnych*, opowiada, że „przyszliśmy tu skargi rzucać w gwiazdziste przestworza, gdy nam przybrało rodzinnego brzegu, przyszliśmy, grubą odziani żałobą, za zdrościć ciszy tym błękitnym grobom, a płynąc myślą w mgły przeszłości czarnej, (własne lub tej ziemi), rwali cyprysy i róże cmentarne”. A innego dnia:

Tu przed nami się czerni
Stary cmentarz dziejowy,
Gdzie ruiny dokoła
Śpią pod skrzydłem anioła;
Tu przystaniem grobowców odzwierni,
I pochyliłm ciężące już głowy.

Nastrój zaiste niezbyt sprzyjający napawaniu się cza-rem Italji!

Pierwsze więc spotkanie się talentu Asnyka z Włochami było poprostu wystawieniem polskich ran na włoskie słońce i odpowiedzią na nie całą gamą tonów, od rozdzierającego bólu lub apatji aż po bachiczne rozpętanie (*Pijąc Falerno*). Asnyk wyczuł takie braterstwo losów między ziemią ruin a Polską zdruzgotaną, jakie nieraz prowadziło serca naszych romantyków nad brzegi Jordanu¹⁾. Jakże inaczej zagrałaby jego włoska pieśń, gdyby przyjechał nie po pociechę, lecz po piękno! Pierwsze wrażenie, może wdzięczność za złagodzenie bólu, okazały się tak trwałe, że i za późniejszych pobytów, gdy tu się zjawiał, kochający ten kraj i już uspokojony, zawsze miał oczy zwrócone wyłącznie na przeszłość. Wizja dziejowa, jak zobaczymy, króluje jeszcze w ostatnim jego włoskim wierszu: *Taorminie*.

Znamienne jest dla niego, to co i dla Konopnickiej, a nawet pewnie bardziej dla niego, rozbitka walki wolnościowej, że nie czuje zupełnie pulsu wyzwolenczego Italji ówczesnej, ani czynu garibaldijskiego, ani pieśni carducciowskiej²⁾. Na całej powierzchni jego twórczości niema najmniejszego punktu znajomości z Carduccim, co dziwne tembardziej, że go znał, podziwiał i tłumaczył przyjaciel Asnyka, Vrchlicky.

Wzrok, idący wstecz, krajobrazowo trafił na ruiny, literacko na Dantego, kto wie czy sam, czy też przez romantyczne podsunięcie i, jak Słowacki zesłanie, tak Asnyk popowstaniową epopeję Polski w tej chwili zamknął w tercyny. Zaczął tłumaczyć Dantego, zajrzał, może mniej gruntownie, do Petrarcki, za dalszych już pobytów zaciekał się Brunem,

¹⁾ Jest zupełna biegunowość nastawienia we Włoszech polskości Asnyka a Krasińskiego. Autor *Irydona* z runięcia w grzyzy starożytności wywodził dla duszy rękojmię, że runą i dzisiejsze, dławiące Polskę potęgi, kojarzył ruiny z elementem sobie wrogim; Asnyk, przeciwnie, wyczuwał braterstwo zwalisk greckich i rzymskich z powalną Polską.

²⁾ Warte jest może uwagi, że tak głęboko odczuli *risorgimento* narodowe włoskie anglicy, od Byrona po Browningów, a tak głusi byli na nie poeci polscy, właśnie nieraz przybywając do Italji wprost z pod sztandarów powstańczych. Nawet stanowiący pod tym względem wyjątek czyn Mickiewicza nie zwrócił w stronę walk włoskich serca i pióra Asnyka a potem Konopnickiej.

raz sięgnął oryginalnem natchnieniem w średniowiecze włoskie (*Rienzi*), pozatem żyła dla niego jedynie starożytność i ściślej, nie Rzym, lecz Grecja, której samej nie poznał nigdy, ale która właśnie mówiła do niego zawsze poprzez Italję.

Choć Włochy były na razie tylko oliwą na falach w dniu duchowej burzy, pokazało się zaraz, że dusza dziwnie do nich się przykłada.

Człowiek, który wyjeżdżał z Polski jako spełniciel romantycznych nakazań, odrazu swój polski ból wkuwa w kategorje i obrazy świetnie klasyczne. A nie jest to sztuczność, nie zgrywanie się z tłem, nie program, jak u pseudoklasyków, tylko jego istotna natura. Asnyk, po Kochanowskim, który zresztą dźwięk klasyczny brał i z Włoch i z powietrza swoich dni, to najszczerzy klasyk polski. Los giął niemiłosiernie drogę jego Muzy, troska myśli i serca w inne rzuciła ją okolice, jednak rzecz ciekawa, że właśnie wtedy, gdy najbardziej niewolniczo trzymał się gestu romantycznego, gdy szedł wyraźnie po cieniu piewcy Króla Ducha, klasycyzm najsamorzutniejszy znajduje w jego poezji wyraz.

Przypadłszy ku ruinom w ruchu patriotycznej rozpacz, potem już chodził wśród nich z oczyma roziskrzonymi zapałem. Piękno zrobiło swoje. Dowodzi tego ustęp z *Gałqzki heljotropu*, gdzie Adolf, płaski bohater komedjowy, typ dnia polskiego, z którym duszą i poezją walczył Asnyk, tak się wyraża o Henryku, bezsprzecznie uosobieniu samego autora:

Zachwycałeś się wtedy nad każdą ruiną,
Nad złamaną kolumną, posągami, mozaiką.
Odtwarzałeś postacie, co w mgle wieków gina
I wypełniałeś gruz legendą lub bajką.
Ha ha, zabawne czasy! — zmokliśmy, pamiętasz?
Ja się poszedłem ogrzać, tyś pobiegł na cmentarz.
Już to przyznaj, że strasznie byłeś zapalony
Do tych starych rupieci.

(scena 1).

Co nas uderza niezawodnie, to brak zupełny natury włoskiej, słońca, morza, powietrza, kwiatów. W *Podróżnych*:

jest ledwie parę, mimochodem w żałobnem przejściu rzuconych blado-kolorowych kresek pejzażu, odrazu dla Asnyka charakterystycznych: nieco różowych blasków i błękitnej pogody, w *Zatoce Baja* niema prawie żadnego widoku, zato żyje wczorajszość mitologiczna i dziejowa. Stowarzysza się — raz jeszcze powtarzam — dusza poety nie ze słońcem południa, ale ze światem, który ongi w świetle tego słońca wartości swoje cywilizacyjne zrodził. Dobitnie o tem świadczy *Odpowiedź przeszłości*, pójście po pouczenie do ludzi, których „słoneczność ducha” tak odbija od „goryczy, co nam usta krzywi”. *Odpowiedź*, usłyszana od mężów starożytności, wsiąknie w przyszły filozoficzny pogląd Asnyka. Jeden kamień z mudnej budowy jest już dobyte w pierwszych czasach włoskich, ale przeleży długo bezużyteczny, będzie sąsiadował z burzą i smutkiem, niszczącym inne okolice życia, aż dopiero podejmie go zczasem ręka w dniu syntezy.

Myśl ta, to organiczny związek jednostki ze społeczeństwem, roztopienie treści osobistej w ogólnej, razem z osobistą radością i cierpieniem. Zaznacza się już niechęć poety do indywidualizmu, która po latach zyska podporę w najwyższych argumentach jego metafizyki.

Mężowie starożytności mówią mu dalej:

Każdy krąg swego istnienia rozszerzył,
Zyjąc w swych ojcach i braciach i synach,
I całe dzieje swej ojczyzny przeżył
W nowych nadziejach i spełnionych czynach;
I w nieśmiertelność swojej pracy wierzył, —
W myśl kiełkującą wiecznie na ruinach,
Co w doskonalszej wschodząc wciąż postaci,
Za trudy ojców potomnym zapłaci.

I ta myśl: spółnictwa duchowego pokoleń, z podejściem aż pod próg asnykowskiego rozumienia nieśmiertelności, zadźwięknie nam „nad głębiami”.

Chciałabym znowu wpisać w przechodzie pewną uwagę ogólną. Asnyk, w podobieństwie do Minerwy, był „odrazu gotów”. Rozwój jego nie wykazuje żadnego przesuwania się,

zmiany położeń ducha,—znowu wbrew zdaniu Chmielowskiego. To raczej ruch wgląd. Droga nie kresliła mu się w wymiarze poziomym; początkowo może krążył niezupełnie pewnie dookoła wyczuwanej pozycji, potem zaczął się zbliżać coraz bardziej zdecydowanie, wreszcie trafił na swój zasadniczy pion i jął się po nim drażyć zwycięsko w stronę serca stworzenia.

Jeszcze jeden wiersz z pierwszej podróży włoskiej wykazuje nam tę wczesną gotowość, jak i jeszcze jeden jasno przekonywa, że nie romantyk dojrzewa Polsce w tym wchodzącym w szranki poecie. To *Odtamowi Psychy Praxytelesa*, a w nim strofy o „poezji ciała” jako o „pierwszym kwiecie czarodziejskiej woni”, wyraźniej: nie potępienie zmysłowości, lecz wzięcie jej po grecku jako

Zmysłowej formy natchnionych wyrażeń,
Gdzie życie złało w poematu całość
Szlachetny kontur z ciepłem namiętności.

Jest w tym młodzieńczym poemacie ta sama myśl i te same szczyble wznoszącego się erosa, które kiedyś dojrzały głos poety mocno i gorąco przedstawi w *Odzie*, choć gdyby się doszukiwać teoretycznego cokołu, to w czasie pisania *Psychy* Asnyk chodził raczej w orbicie Schellinga i Hegla, przed stworzeniem *Ody* wysłuchiwał już był przyrodników ewolucjonistów.

Jeszcze wyraźniej na cześć zmysłów wyśpiewana jest *Aszera*, również we *Włoszech*, w roku 1864, a w niej kontrast żywej, zarumienionej życiem namiętności starożytnej, i nerwów, cedzonej na momenty, chorej, bladej wrażliwości dzisiejszej.

Przez niemy literacko okres studjów w Heidelbergu wracamy do Polski. Pojaśniał Asnyk o tyle, że zajrzał był na wyspę szczęścia i słoneczności—na falach minionych wieków. Nie było to przecież uleczenie duszy. Póki mieszkał w Italji, czuł węzeł ze światem starożytnym; stanięcie na ziemi galicyjskiej odnowiło rany. Właśnie dlatego, że on, który

oglądał niedawno w perspektywie klasycznej ludzkość najwyższą, zobaczył zagnała koło siebie ludzkość małą. Ugodo-
wość społeczeństwa galicyjskiego, stosunek krytyczny lub
wręcz wrogi do powstania, sprawiły, że poczuł się nieszczęs-
liwy i bardziej samotny niż na obczyźnie. Wybuchnął też
krwawą skargą, boleśniejszą napewno od udrapowanej lite-
racko *Apostrofy*:

Tu dla was miejsca niema, błędna zgrajo,
Coś z duszy piętna polskości nie starła,
Los cię osądził, ludy odracają,
Własna rodzina ciebie się wyparła.
Idź, gdzie cię wichry po świecie pędzają,
Gdzie ci tęsknota będzie serce żarła,
Ale do tego nie zbliżaj się brzegu,
Bo tu nie znajdziesz dla siebie noclegu.

Tu ci uścielą tak kolące łoże,
Że przy niem puchem są ciernie wygnania,
I mięszmem będzie skaliste rozdroże
A cieplejszemi lodowisk postania,
Bo na tułactwie spaść ci z nieba może,
Obok pogardy, łza politowania,
A tutaj — niema łaski i litości
Dla tych, co noszą jawny grzech polskości¹⁾.

W Italji Asnyk cierpiał, szarpał się, ale pisał wysoko. Pisał nawet jak na siebie (jeszcze resztki blasków Słowackiego leżały na nim) za namiętnie, co stanowczo nie było zgodne z jego naturą. W Polsce zamilkł w poezji wysokiej i ideowej wobec takiego, jak się przyznaje, powitania. W okresie lwowskim mamy piosenkarza, autora przesłicznych liryków salonowych i miłosnych, poetę, którego zestawiano z Heinem i Mussetem. Konopnicka—miałam już sposobność mówić o tem kiedyindziej— zachwycona urokiem tych wierszy, nazwała Asnyka radosnym trubadurem wiosny! Tymczasem to przejście orła w motyla jest najgłębszym punktem

¹⁾ Z rękopisów poety w Ossolineum. Drukowane po raz pierwszy w artykule: „Na marginesie nieznanych utworów Adama Asnyka“ p. A. Chorowiczowej, Pamiętnik Literacki r. 1927, tom XXII — XXVII str. 505).

jego tragedji. Przedtem, choć ze złamanym sterem, płynął jeszcze po burzowej fali, teraz dostał się na stojące galicyjskie wody. Nas w tych ślicznych mozaikach i kwiatach zajmuje w tej chwili jedno: czy jest w nich przyroda?

A jakże, a nawet stosunek do niej w porównaniu z powierzchniowością uczuć włoskich się z bogaca. Znowu trafiamy na delikatne linijki pod przyszły wielki kontur.

Erotyki Asnyka mają za tło salon lub przyrodę. Wymykając się pierwszym, odrazu dążymy ku drugim. Rozgrywają się one właściwie więcej w naturze, na jej pełnej wdzięku powierzchni, aniżeli w sercu. Albo, mówiąc dokładniej: serce, główny aktor, wchodzi w ugrupowanie spółaktorów w przyrodzie jako *p r i m u s i n t e r p a r e s*. Wejrzyjmy w cudne, jedyne w swoim rodzaju, lekkie jak pył kwiatów wiersze: *Między nami nic nie było*, *Przebudzona*, *Marzenie w ogrodzie*, *Różowa chwilka*, dalej: *Serenada*, *Abdykacja*, *Barkarola*, albo w innych nastrojach: *Tęsknota*, *Miłość jak słońce*, czy *Astry* — doprawdy nie czujemy, kto jest bohaterem tych drzeń i uniesień: kwiaty, ziemia, promień słoneczny, wiosna, obłok, czy kwiat między kwiatami, promień wśród promieni: dusza poety.

Drugą taką epopeę odrobin przyrodzenia, przyznajemy, że na znacznie szerszej podstawie, zato mniej przewianą blaskami i zapachem, stworzył Kasprowicz w *Księdze ubogich*; tam jest filozofja, tu tylko wdzięk i tylko miłość, ale taki wdzięk, że gdyby ktoś nie wiedział, jaką Kalwarję cierpień narodowych miał za sobą autor, nie poznałby, a myślał, że to naprawdę pisał trubadur, że wyśpiewał słowik, wyplakał rosą kwiat. Jeżeli złapała się aż Konopnicka...

Asnyk jako filozof nie dociągnął się bez reszty do panteizmu, zato swoisty panteizm, w paru chwilach trochę filigranowy, dają jego erotyki. Nie powtórzy się już później u niego w wielkich malowidłach przyrody owo bezwzględne wejście w siebie dwu zjaw: stworzenia i duszy; będzie albo ostateczne, aż do dotknięcia, zbliżenie, albo wpięcie wspólne na myśl, tu natomiast jest wpłynięcie wprost jednego w drugie. Niech nam to zilustruje precudna *Tęsknota*, jeden z naj-

bardziej bezpośrednich w panteistycznym odczuciu wierszy
Asnyka, właśnie taki obrazek z małej galerji:

Obłoki, co z ziemi wstają
I płyną w słońca blask złoty,
Ach, one mi się być zdają
Skrzydłami mojej tęsknoty.

Te białe skrzydła powiewne
Często nad ziemią obwisną;
Łzy po nich spływają rzewne,
Czasem i tęczę zabłysną.

Gwiazdy, co krążą w przestrzeniach
Po drogach nieskończoności,
One są dla mnie w marzeniach
Oczami mojej miłości.

Patrzą się w ciemne odmęty,
Te wielkie ruchome słońca —
A ja, miłością przejęty,
Patrzę i tęsknię bez końca ¹⁾.

¹⁾ Równie dobrze obrazowałyby nam to zatarcie pogranicza między
podmiotem a przedmiotem i inny, niemniej nastrojowy urywek: *W noc
czerwcową*:

.
W piersiach dawnych marzeń dreszcze,
Dawne burze w sercu wrą,
Nie wiem, co jest prawdą jeszcze,
A co sennych marzeń grą?

Czy musnęła czoło drżąca
Pieszczotliwa, miękka dłoń?
Czy to nocny motyl trąca
Moją skroń?

Czy to przeszłość wstaje żywa,
Znanych głosów słodki chór
Smutną skargą mnie przyzywa?
Czy to w dali szumi bór?

Czy to w liściach twarz widziadła?
Czy księżycy promień drży?
Czy to rosa nagle spadła?
Czy też łązy?

Przytoczony wierszyk nie ma blasku, jest przymglony, jak wynika z samego jego tematu; podsuwamy szybko inny, cały w rumieńcu zorzy, choćby taką *Różową chwilkę*. Poprostu niewiadomo, gdzie w tym czarującym uśmiechu poezji kończy się raj serca człowieka a zaczyna upojenie przyrody:

Słodko szumi las.
Słodką nuci pieśń,
Słodko patrzy głąz
Przez jedwabną pleśń.

Drzewa szczęściem drżą,
Drży ich każdy liść,
Drzewa tańczyć chcą,
Chcą powstać i iść.

Zatacza się buk
I cieszy się włoś,
Brzozy aż do nóg
Rozpuszczają włos.

Nawet stary dąb,
Przystrojony w bluszcz,
Chce się sunąć w głąb
Swawolących puszcz.

Ptaszki nuć tu,
Ptaszki nuć tam:
Brak mi w piersiach tchu —
Śpiew ich w sercu mam.

Słyszać zpoza drzew,
W jaśminie i bie,
Ciągłe słyszać śpiew:
„Ona kocha cię“.

Są to jedne z najwdzięczniejszych fragmentów całej wogóle liryki polskiej.

Postawmy tę różaną przyrodę obok tych, które kiedyś wyrzą z dzieł Asnyka, złomów bytu, granitowych praw, przestrzeni zalanych międzygwiezdą pustką, przesytych czerwonymi kulami tworzących się słońc, a nie będziemy mogli oprzeć się zdumieniu, jak jeden i ten sam człowiek mógł nosić w sobie takie dwa wyczucia natury!

Tło przyrody w erotykach Asnyka nie jest nigdy wiadomem, konkretnie umiejscowionem tłem, z wyjątkiem jednej *Podróży Dunajcem*, gdzie sam nagłówek i opis ustawiają nas w geograficznie określonym punkcie; tu jednak właśnie malunek krajobrazu jest zwięźlejszy, drugoplanowy wobec anegdoty uczuciowej. Poza tym wyjątkiem mamy zawsze tylko instrumenty w wiosennej symfonji, bez wskazania miejsca i jego indywidualności.

Dwukrotnie krajobraz staje się fantastyczny: w *Marzeniu w ogrodzie* i w *Baśni tęczy* (należy ona zresztą do innego działu twórczości poety). W drugiej autor operuje zwykłym aparatem bajkowo - legendowym: zaklęte ogrody, pałace, smoki, królewna, wszystko to jednak ma u niego swoisty czar i niepokalaność obrysów, przypomina trochę Dulaca ilustracje do bajek. Może być, że jest tu nawet nieco więcej niż zazwyczaj nasycony koloryt, (morza purpurowe, srebrne rzeki, zwodzony most tęczy, czarne puszcze, kryształowy zamek, smoki z czerwoną paszczą, skąd zionie ogień złoty i różowy i t. d.) zamiast zwykłej „przelotnej gry światła i cieni”, która zato króluje nieopisanym czarem: w *Marzeniu w ogrodzie*, wprost odmaterjalizowanej z ciężaru słów kwietnej arabesce. Oba te na dziedzińcach romantyzmu tematami postawione małe arcydzieła raz jeszcze przemawiają dowodnie, jak dalece ich autor jest klasykiem. Nadto w obu urywkach uderza spora jak na Asnyka doza wyobraźni. Jest jej właśnie tyle, ile zdolne wejść w hamowany klasycznym umiarem kontur, i w dodatku, jak w *Baśni*, na wybitnie ideowy tor.

W innych mozaikach, cackach, westchnieniach i uśmiechach właściwie nie było pędzla wyobraźni, było owo wspomniane stanięcie zjawisk pod batutą pełnego serca, co nawet znajduje swoje zrozumiałe wytłumaczenie, bo miłość jak słońce

Żywe piękności wydobywa z ziemi,
Z serca natury i z serca człowieka,
I szary, mglisty widnokrąg istnienia
W przędzę purpury i złota zamienia.

Ta sama jednak *Miłość jak słońce* może nam posłużyć za wejście do innego rozdziału stosunków poety z przyrodą. To paralelizm, równoległość. „*Miłość jak słońce: ogrzewa świat cały i swoim blaskiem ożywia różanym*”. Niema przetopienia jednego w drugie, przed Asnykiem stoją dwa światy o podobnych lub identycznych wartościach.

Duprel w znanym studjum o liryce piętnuje refleksję — a jest rzeczą dawno przesądzoną, że ona to była centralnym motorem twórczym naszego poety — jako nieprzyjaciółkę liryki, jako drugi biegun wyobraźni. Refleksja paraliżuje, zdaniem jego, bezpośredniość stosunku do przyrody, dostrzega co najwyżej analogje, podobieństwa, zamiast wnikać w tożsamość ducha i natury.

Ten dość ciasny, swoją drogą, pogląd załamał się na wierszach, z którymi przebywaliśmy przed chwilą, — prawda, może nie były refleksjami, może były pauzami w myślach na rzecz przeżyć; — jest zato całe długie pasmo utworów Asnyka, które Duprel pewnieby przytoczył jako potwierdzenie swego mniemania.

Liryki postawione na równoległości zaczynają się wczesnie, a przeciągają daleko poza dzień zdobycia ewolucjonistycznej pozycji myślowej przez poetę, kiedy po kilkakroć zajdą w zwycięstwie aż do samych wywierzyisk istnienia, np. *Mgławice*, lub przynajmniej bardzo wysoko zahaczą się, jak *Fale*, w *Nad głębinami* sonety IV i XXVI, z których pierwszy zestawia ciąg pokoleń z odlotem ptactwa, drugi rozszczepienie się pierwotnej białości słonecznych promieni na tęczę przyrównywa do rozprysku światła prawdy na indywidualności.

Wierszami o dwu pulsach zasypana jest twórczość Asnyka, od historjozoficznych spojrzeń na całą niejako bryłę kosmiczną ludzkości (*W obiegu*, *Nad głębinami* sonet XXVII i t. d.), do bystrych podpatrzeń społecznych lub psychologicznych: w Tatrach kra na jeziorku w pierwszej części *Nocy pod Wysoką*, *Limba*, *Burza*, dalej: *Na śniegu*, *Światła*, *Egzotyczne kwiaty*, w *Motywach ludowych*: *Huczy woda po kamieniach*, i dużo



dużo innych. Dziwnie delikatne i oryginalne spięcie wykazuje *Powrót piosenki*:

Jeśli piosnki jak skowronki
Odlatują z jesienią,
A wracają znów na łąki,
Gdy się z wiosną zielenią,

To piosenki tej przybycie
I jej tchnienie miłosne
Może wróżyć nowe życie,
Przebudzenie i wiosnę.

Jeśli piosnki są ach! tylko
Własnym cieniem człowieka,
Co tak duży ranną chwilką,
Z biegiem słońca ucieka,

A do dawnej wraca miary,
Kiedy słońce już nisko —
To ten powrót piosenki starej
Może wróżyć śmierć bliską.

Poczucie równoległości rodziło się nieraz z najtajniejszego drgnienia serca, nieraz, jak wspomniałam, z teoretycznej myśli przyrodniczej. Jest jeszcze trzecie spojrzenie na naturę, kierowane bezwzględnie sercem, może mówiące o najbardziej istotnym, zdaje się dotąd niepodkreślonym rysie psychiki Asnyka, a tak dla niego ważnym, że na nim stanie znowu jeden z orjentacyjnych znaków jego myślowego świata.

Nazwę ten rys, dla zwięzłości, synostwem wobec ziemi. Pierwszy raz, jeszcze w gorączce miłości, mówią o niem *Lilje wodne*:

Ty się pytasz, mój biały aniele,
O czem marzą owe kwiaty senne?
W naszych piersiach kwitnie uczuć wiele,
A nie wiemy, gdzie biegną — promienne,
I związani ze ziemią łańcuchem,
Nic nie wiemy, gdzie płyniemy duchem.

Nieraz odtąd wyjrzy ku nam myśl o duchu, takim z ziemi idącym kwiecie, jak kwiaty łąk i gór.

Idea o prawdzie ziemi dla ducha ma na swoje usługi małe arcydzieło: *Odpozywa*, jakby nawspak przewodniej myśli jeden z najbardziej zefirowym tchem pisanych poematów w poezji i to nie tylko polskiej. Jeszcze roztacza w nim Asnyk cały czar swoich erotyków wiosennych, jednak utwór idzie na zaciąg o wiele głębszej treści niżli miłość. Ze stanowiska krajobrazu *Odpozywa* wchodzi między najpiękniejsze asnykowski stronice; parę mistrzowskich muśnięć a czarne świerki, gdzie „motyle złote wiszą na gałązkach drzew“, zaczynają się lekko zatapiać w przejrzysty letni zmrok:

Noc zapada, z ziemi wstają
Zwolna srebrne mgły,
Szare płaszcze zarzucają
Na wilgotne mchy.

Mkną i płyną, jak jeziora
Zalewają las,
W lesie straszno — duchów pora.
A on śpi jak głaz.

Księżyc przedarł swe promienie
Przez zielony dach
I przetopił mgły i cienie
W brylantowych skrach.

Odmieniają kształty drzewa
Wśród tych światła fal..
Na wierzchołkach wicher śpiewa
Dzikiej pieśni żal.

.
Ponad świerków ciemne szczyty
Księżyc w górę wstał
I oświecił parów skryty,
Gdzie młodzieniec spał.

Spał tak w nieprzerwanych snach od rannej bitwy, pośród wonnych tchnień, na pościeli mchów jedwabnych, z włosem pokrytym paprocią, z zielonym bluszczem, co mu się rozpostarł na ramionach i z małym koralem u piersi. Lecz dopiero w perłowej fali księżyc napęłniły las srebrne mary, a mgli-

stych dziewic splot zaczął fantastyczne korowody. Gdy księżyc wznosił się ponad czarną ścianę boru,

Zobaczyły tanecznicze
Pod arkadą drzew
Uśpionego blade lice
I na sukniach krew.

Zaczyna się dramat, oparty o głęboką myśl poety.

Pieszczotami senność wieczną
Chcą mu z czoła zdjąć.
Bytu trwałość napowietrzną
Chcą mu w piersi tchnąć.

Bo jest życie — one niem właśnie żyją — we mgłę duchów tajemniczej, z ciałem utkanem przez promień fali i przez chmurkę płynącą w nieskończoną dal, jest uczestnictwo w harmonijnym istnieniu chórze, w którym — mówią mu — „będziesz niczem, będziesz wszystkim w oceanie dusz”.

Będziesz, ludziom niewidzialny,
Trącać skrzydłem świat,
I z krainy idealnej
Wonny rzucać kwiat.

Z szumem wiatru, z liści drzeniem,
Czystym światłem lśnić,
Będziesz poił serca tchnieniem
Zaświatowych żądz.

Więc cię pozna i dostrzeże
Sercem swoim lud,
I pieśń gminna cię ubierze
W wdzięczny podań cud.

Twe nieznanne poświęcenia
I ofiarny zgon
Przejdą w dalsze pokolenia
Na przyszłości plon.

Królewski zaiste dar, — przyjąłby go i wplótł razem z krwią swoją w pieśń gminną bohater ballady Mickiewicza, odmawia — i bez żalu — powstaniec asnykowski. Każda ze zwrotek jego odpowiedzi daje nam jakby przez inną szybkę zajrzeć

w głąb serca swego poety. Jako świadomy sługa sprawy,
która mu wzięła życie, broni się argumentem:

Mamże znów nawiązać krwawą
Rozerwaną nić,
Wrócić z bólem i niesławą,
Nie mogąc się mścić?
Między żywych pójsć ukradkiem —
Jedną z próżnych mar. —
I pozostać zbrodni świadkiem
A współnikiem kar?

Inna zwrotka nawiewa nam wspomnienie poruszonej już
myśli przy *Psyche Praxytelese*:

Czy mi (takie odzycie) odda rozkwit ciała,
Świeżych zmysłów wdzięk,
Rozkosz, co je nastrajała
W harmonijny dźwięk?

Asnyk buntuje się przeciw duchowi, który do najwyż-
szych swych przeżyć nie ma ciała za towarzysza: „Mamże
jeszcze marnym cieniem na mogile stać” — „mam *pozorem*
życia przeżyć nieskończoną noc”, ukradkiem między ludzi
chodzić jako mara? ¹⁾ Nie, on woli pozostać zimny, czysty
na posłaniu mchów, a zato nad jego nieprzerwanym snem—
i tu zagląda nam w oczy swoista myśl poety o nieśmiertelności—

Niech natury wieczna praca
Wznawia dalszy byt,
Niech proch w koło istnień wraca,
Witać nowy świt.
Niech po świecie się rozproszy
Tysiącami tchnień,
Niech odżyje tchem rozkoszy
W jasny życia dzień.
Lecz *ja* spocząć chcę na wieki..
Od duchów i ciał
Równie obcy i daleki —
Będę cicho spał.

¹⁾ To samo jego stanowisko da się jeszcze wyczuć w humorystycznym wierszu pośmiertnym p. t. *Opowieść ducha*, ośmieszającym seanse spirytystyczne.

Prawda, że coś jakby trochę *Anty-Romantyczność*? W rzeczy samej ten ślicznie po oberonowsku dźwięczący wiersz jest wyraźną wedetą przeciwromantyczną.

Czego tutaj bohater pragnie dla siebie, to spotkało innego zabitego w boju powstańca, w *Dzwonkach*. Jego nie dręczyły romantyczne zwodnice, nie kusiły majakiem życia bez ziemi. Leżał w mogile i do szczętu rozplynęła się w nim gorycz wspomnień i słowicze echa dawnej istności. Aż pewnego dnia uczuł, iż pierś mu na nowo zaczyna rozsadzać jakaś niszcząca i twórcza zarazem siła, że jest wciągnięty znowu w nieskończony ruch i roztopiony w ogromie światów.

I widzę siebie w każdym atomie
I wszędzie myśl mą dawną znajduję;
A jedną cząstką ponad grobami
Wybiegam na świat kwiatów oczami.

Bo grób jest pośrednikiem między pokoleniami, jak już nauczyli dawno Asnyka mężowie starożytni. I gdy, zwabione niebieskim kwieciami dzwonek, młode pacholę siądzie na mogile, poczuje,

że się w niem budzi
Pragnienie niebios, miłość dla ludzi.

A nim się ocknie z zadumy sennej,

Wykwita przed niem na tle błękitu
Anielska postać w szacie promiennej,
Płonąca ogniem nowego świtu
I tajemnice grobów odsłania
Królowa śmierci i zmartwychwstania.

Ten duch, którego nie pokrzywdzono odjęciem ciała, przez święte pośrednictwo ziemi spełnił swoją ludzką misję i polską: nie wrócił z bólem i niesławą, nie mogąc się mścić, lecz dalekim pokoleniom, sam znikły, postawił przed okiem i duszą do kochania niebieską zjawę, za którą kiedyś oddał młode życie. Jesteśmy na jednej z wielkich linii myślowych Asnyka, a zarazem gotowiśmy do tonu, jakim nas pozdrowi u przegrupcy z Tatr.

„O matko ziemio, dobra karmicielko!” — Mówimy już teraz do niej wprost, bez pomocy idyllicznej fabuły.

O matko, ziemio, ty nam, dając ciało,
Zbudzoną duszę karmisz na swem łonie.

Wielbiąca niemal modlitwa jak do macierzyńskiej Demetry... Bo i jest za co dziękczynić i sławić:

Ty jej (duszy) swe wszystkie skarby zgromadzone
Rzucasz na pastwę z rozrzutnością matki,
Pozwalasz zdierać z twarzy swej zasłonę
I coraz nowe zadajesz zagadki,
Kryjąc w swej dłoni, jako lżys czarna,
Kwiaty lotusów i pszeniczne ziarna.

Te namaszczone, dostojne, jak powiedziałam, prawie religijne strofy pokazują nam, że Asnyk trochę inaczej rysuje mapy ziemi, niż myśmy czynić to przywykli, trochę niejako zagarnia na jej korzyść z terytorjów, zazwyczaj przypadających raczej duchowi. Już o tem świadczy ów lotos, jako obok pszenicy, dar ziemski. Słuchamy dalej:

Dobra piastunko! trzymasz nas tak mocno
Na swojej piersi, co się ciągle chwieje...
Sny cudowności zsyłasz porą nocną,
A we dnie własne opowiadasz dzieje.

Ona to, ziemia, daje duszy poznać świata piękność całą, oprowadzając ją przez błękitne tonie i po gwiazdzistym unosząc przestworze. Ona to rzuca w nią ognie, co się wiecznie palą w obłoku marzeń i kwiecistej woni, ona podaje prędkę, z której duszy pozostaje tylko „snuć dalej pasma uczuć świeże”.

Zaiste bardzo mało zostało w takim razie dla „czystego” ducha, jeżeli przestwory gwiazdziste poza nami, a marzenia i sny cudowności w nas, jeżeli tajemnicze kwiaty lotusów to — ziemia. Duch więc to, może, jak już dały kiedyś przeczuć *Lilje wodne*, jakby balon na uwięzi¹⁾: skoro oderwie się

¹⁾ „Duch mój wolny, choć prawom powszechnym podległy” powie poeta w *Nocy pod Wysoką*.

od ziemi, obłąka się natychmiast w mgle urojeń ciemnej,
w złudnych zachwytach, w bezpłodnej rozpaczy lub daremnej walce, zapłynie jak okręt-widmo na błędne morza,
bo — tak napewno uważał Asnyk — w każdym najstrze-
listszym locie ducha musi być zawsze choć szczypteczka
ziemi.

Musim żyć z tobą w zgodzie do mogiły,
Chociaż cel wyższy stawiamy przed oczy.

Każdy z nas, jak Anteusz, w walce, jaką toczy, dotykać
się musi roli, z której wyszedł, a która, we wdzięczności za
kochanie, darzy spojrzeniem matki i matki pieczęcią.

Przywołajmy przed pamięć Konopnicką, dobiegającą
twórczych dróg. U niej, w przeciwstawieniu, ziemia jest córą
ducha i od ducha przyjdzie dla ziemi zbawienie:

Ziemio! Ty będziesz tak chłostana duchem
I siedmiu wichrami jego,
Które na ciebie nawałnicą puści,
Że musisz dźwignąć się wszechmocnym ruchem
Z prastarych orbit czeluści,
Coraz wyższymi kręgi wstępując bez końca
Do najwyższego,
Do kręgu słońca!

.
Ziemio, ty będziesz tak podminowana
Prochami, co leżą w tobie,
Jak podścielisko wulkana ¹⁾!

Inna to rola grobów niż u Asnyka, które i tu, we *Wstę-
pie* tatrzańskim, widzimy ciche, drzemiące i budzące miłość
pokoleń do ojczyzny.

Realizm? Niezupełnie i zapewne niezbyt zgodnie z sym-
patjami samego autora, który w innym tatrzańskim wierszu
(do Sieczki) powie z dozą przekąsu:

realizmu powszedniego mistrze
Nie mogą ciebie w swej zamieścić szkole,
Boś kochał wszystko jaśniejsze i czystsze
I nie lubiłeś pozostawać w dole.

¹⁾ Z Książ Ducha, XXXIII.

Jedna wszelako charakterystyka może nie skrzywdziłaby poety, t. j. że jeżeli dla takiego np. Carducciego ziemia — nawet konkretnie jego ziemia ojczysta—to Gea, dla Asnyka, mimo że ton *Wstępu* przyrównałam do modlitewnego hołdu Demetrze,—to Tellus, nieuosobiona, tylko ciepła, droga, pieściwa i soczysta gleba pod kwiaty ducha.

Przesuwamy się do sąsiedniego wiersza: *Maciejowi Sieczce, przewodnikowi w Zakopanem*, bo i on mówi o realizmie i o przyrodzie. Mówi dużo słabiej, trochę sucho, trochę dydaktycznie i przydługo, ale to nic,—tem dokładniejszą jest wypowiedzią przekonaniową. Można by go uważać za pewien równoważnik *Ociemniałego Thamyrisa* z odłamu wierszy italsko-greckich, klasycznych, zatem obracających się w kręgach historii i wartości ludzkich, których jest tak samo nieco profesorskim wykładem, jak wiersz do Sieczki jest wykładem na tle stosunków do przyrody.

Zbieramy z niego garść myśli pierwszorzędnej wagi. W pochwalę prostego górala wypowiedział Asnyk namiętny protest przeciw szpeceniu piękności natury odzieżą mdłych legend, przeciw sztucznemu aparatowi wyobraźni, natchnieniom niemieckiej ballady, bladym przenośniom i wykrzyknikom. Wymowny staje się poeta w walce z nieprzyjemnym sobie stanowiskiem, na wszelką modłę, a zawsze plastycznie, piętnuje fałszywy pokost, ludzkie trefienia i postrzyżyny, przyprawianie wielkiej symfonji turni, hal i borów skrzydeł z tektury. Jeżeli ktoś, towarzyszący nam, do tej chwili jeszcze upierał się, aby w Asnyku widzieć spóźnionego wielbiciela romantyzmu, tu się chyba zachwieje. Co za przepaść od Goszczyńskiego, który tak względnie niedawno poodkrywał w tych samych Tatrach węże-potwory, dziwożony, „milowe, lodem zasłane doliny” i któremu za każdym stąpieniem po górach „grały widomie niewidome siły i pilnowały człowieka jak dziecka”!

Jednak wiersz do górala prowadzi nas jeszcze dalej w duszę swego poety. Mówi o pewnej, jak się zdaje, wogóle

niechęci do wyobraźni, która, jego zdaniem, jest najsłabszą z władz ducha ludzkiego, obliczoną na loty o najkrótszej mecie. Ona nie jest promieniem do wielkich zagadnień, jej kręte, zdobne dróżki dobre są do gonitw, do zabaw poetyckich, nie wprowadzą na wysokie turnie. Wyraźnie głosi to ostatni sonet z cyklu *Morskie Oko*:

O wielki poemacie natury! któż może
Iść wślad za twych piękności natchnieniem wieczystem?
Kto uchwyci poranku wzlatającą zorzę
I zapali rumieńce na niebie gwiazdzistem?

Kto wyrzeźbi kamienne wodospadu łoże?
Przemówi szumem fali, wichru dzikim świstem?
Srebrne chmurki zawiesi w szafirów przestworze
I odbije skał ostrza w wód zwierciadle czystem?

O wielki poemacie! ciebie tylko można
Odczuć i wielbić razem w drgnieniu serca skrytem.

Tak, wyobraźnia nie jest twórcza i nie ją zaprzęgnie poeta, aby się mierzyła z pięknosciami tatrzańskiego świata. On zbliży się do nich tylko w „cichym zachwycie”, w którym „dusza na skrzydłach tęsknoty leci trwożna”, i ten to zachwyty, mimo zaleku, pozwoli mu znaleźć „jędne słowo”, co bez krzywdy może się przyłożyć do surowej piękności i prawdy stworzenia.

Widzimy, że Asnyk rokokowo zacieśnia wyobraźnię; niechęć, jaką świadomie czy nieświadomie do niej czuje, przynajmniej tu, w Tatrach, wskazuje mu w niej tylko środek do skromnej dekoracji, mały *genre*,ikliwość, skrzydełkowanie.

Wiersz *Do Sieczki* i *Giewont* jeszcze jeden punkt dodają do zrozumienia jego stanowiska. Spółzycie człowieka z przyrodą ma dwa węzły: dolny — w prostych duszach ludowych, i górny — w umysłach myślicieli. Lud góralski, sam nie wiedząc o tem, jest żywiołem między górskimi żywiołami, dlatego unika niebezpieczeństwa stylizowanych z niemi połączeń. Gdzieś, dużo wyżej i dla rzadkich przechodniów, wisi most przez turnie do prawdy bytu; wejdzimy nań za poetą

w *Nocy pod Wysoką*. Tylko sfera środkowa, sfera estetyzujących inteligentów, jest pasem obłudy, obniżania, bezmyślności.

Tak wypowiada się Asnyk, gdy dziewczyną przyrodę obronić chce od antropomorfizacji. Inaczej brzmi jego głos we Włoszech za dalszych pobytów. Tamta natura jest dlań przedewszystkiem świadkiem zgasłych er ludzkich, a prawdą ich w pewnym dniu były słoneczne legendy i mity. Oto co odpowiada w *Gałgźce heljotropu* Henryk na bezrozumne zysderstwo Adolfa, że się kochał w rupiecicach:

Ja się z tem nie taję,
Bo ślad każdy, co z ciemnej przeszłości zostaje,
Tyle mówi do duszy, takie rzuca światło
Na te zniknione światy! a gdy jeszcze za tło
Służy jemu idea piękna, w nieśmiertelny
Kształt przybrana, podniosła, jakby hymn kościelny
Ponad grobem narodów, i tyle mówiąca
O pojęciach, religji, zwyczaju tysiąca
Zgasłych plemion: to wtenczas jak się chciwie czyta...

Na tle włoskiem maluje Asnyk jeden ze swoich najpiękniejszych pejzaży, *Fresk pompejański*, w którym naprawdę

Wszystko płynie weselem, wszystko tchnie rozkoszą,
Czarem młodego życia i wiosennych rojeń.

Jest tu może w kolorycie coś z Boecklina, tylko o subtelniejszym rysunku. Pisarsko, co do nadzwyczajnej kontroli nad samym sobą, która nawet wobec zachwyty i umiłowania dla greckiego przedmiotu nie pozwoli werwie ani w jednym punkcie wysunąć się pozaznaczony kontur, przypomina się Leopardi w swoich *Bajkach starożytnych*. To umyślne pod klasycznym dyktandem hamowanie pióra, które i tak z natury nie rwało się do szybkich rzutów, sprawia, że w zestawieniu z *Freskiem* dwa czy trzy najpiękniejsze opisowe wiersze tatrzańskie, *Ranek w górach*, *Kościeliska* i t. p. są żywsze, mimo, iż tam jest akcja bezosobowa samej przyrody, tu akcja istot mitologicznych. Nie wychodzą one zresztą żadnym ruchem

poza przekazane sobie tradycyjnie role. Urok wiersza polega na wielkiem wyczuciu nastroju i zaklętym w jego ramy istotnie brylantowym blasku.

Jeszcze słoneczniejszą, jedną z najśnieczniejszych wogóle kart Asnyka, jest pierwsza część fresku *Thetys i Achilles*. Tej już nikt nie odmówi ruchu, bo jest cała ruchem, rozpryskiem pian w świetle, wesołością, urodą. Nie wiem, czy stało się przypadkiem, czy naprawdę nad narodzinami jej w myślach poety błyszczała Rafaela Galatea, ale podobieństwo obrazu jest niezaprzeczane. Jeden uderza tylko zasadniczy kontrast, obok pewnych różnic w grze szczegółów: Galatea jest zwycięska, Thetys na tle rozigranych nereid „pełna gorzkich rozmyślań i głębokiej boleści”. Niemniej smutek jej nic a nic nie przygasza, bodaj jeszcze bardziej podkreśla poranne lśnienie błękitów i morza. Druga, myślowa część Fresku zaciążyła swoją powagą na tym cudnym wstępie i dlatego chyba nie dosyć otoczyliśmy go zachwytem, jako bezwarunkowo najżywszy wytrysk klasycznego światła w całej poezji Asnyka.

Teatr w Tusculum wprowadza znowu na karty pewne przyćmienie i spokój krajobrazu. Być może skutkiem tego, że w tamtych dwu utworach była żywa starożytność, tu tylko jej kamienny świadek. Jest wysokie dostojenie w opisie pustki rozwalin, do których nawet „laur nie dobiega — by szumem nie przerwać wielkiej ciszy i powagi”. Jak inaczej w ruinę Bakczysaraju tłoczyło się nigdy niewstrzymane życie, zajmując dzieło ludzi w imię przyrodzenia! Tu, prócz poety, „jedna przybyła jaszczurka i drugie miejsce zajęła w teatrze”. Ten jedyny punkt życia, jedyny mały zygaczek ruchu—jaszczurka na dookolnej umarlinie,—wywołuje jednak pobudzające myśl wrażenie. Idzie mi w tej chwili o ponowne zaakcentowanie spostrzeżenia, że Asnyk na ziemi klasycznej, o ile patrzy w przeszłość, ożywia się i jako malarz i jako myśliciel—w usta starożytnym ceniom i posągom włożył przecie swoje wysokiej mądrości zdania, dotyczące prawd i przeznaczeń ludzkich (*Freski starożytne*); plan społeczny, tak jak w r. 1864, wita go tylko ruinami.

Żywsza, nie wiejąca martwością od widoku dzisiejszości, jest bardzo piękna *Taormina*, ostatni włoski wiersz Asnyka. Może inny poeta zrobiłby ją gorętszą, słońce nad nią więcej rozpalił, powietrze dał cięższe od upału; u Asnyka nie widzimy, oświetleniowo i co do soczystości kolorów, najmniejszej różnicy między Sycylią a rankiem w Tatrach. Wpływa na to nie tylko jego wzrok, tak spokojnie reagujący na mocniejsze podniety, ale i refleks spłowiałości, jaki pada od wypadków dawno na tych miejscach dokonanych. Malowanie w jednej chwili wygina się ku wspomnieniu. Po paru strofach, trzymających się dnia obecnego i mistrzowsko podyktowanych przez oko, pamięć historyczna zagarnia sobie pióro i daje zwiewną rewję kilkunastu stuleci.

Legendowe tchnienia wieją,
I słoneczne błyszczą mity...
Dni współczesnych z Odysseją
Pada jeszcze blask odbity.

Starożytny duch Hellady
Swe pajęczce nici przędzie,
Choć zamglony, nikły, blady,
Piętno swoje wyrył wszędzie.

Zlał się z całą tą przyrodą,
I jak światło gdzieś z grobowca
Pod powierzchnią życia młodą
Śle promienie dla wędrowca ¹⁾.

Co dopiero mówić o takiej *Kartaginie*, gdzie stosunek wrażenia optycznego do pobudzeń historycznych jest jeszcze skromniejszy? Przeżycia jak *Noc na morzu*, lub *Pustynia* nie naciskają myśli do ruchu wstecz, ale już w *Pointe de Raz*,

¹⁾ Może będzie miała swoje znaczenie uwaga, że *Taormina* nie tylko pod względem siły i barwy światła nie różni się, jak w tej chwili podkreśliłam, od tatrzańskiego *Ranka w górach*, ale nawet strofa i rytm obydwu są identyczne. W tę formę, toczono allegretta, wspiwywał się widać odruchowo Asnyk w chwilach, gdy od krajobrazu płynął mu w duszę „powiew szczęścia i swobody“, gdy myśl, zwolniona od ciężaru wielkich zagadnień, a oko od łez, znajdowały przed sobą szereg błękitną i w pocie odzywał się przedewszystkiem malarz.

w bardzo silne, jak wyczuwamy, wrażenie potęgi oceanu wcina się znów trochę boecklinowski obraz pogrzebu druida. Gdzie tylko jest historia, tam do niego mówi. Wspaniały ten wiersz w drugiej części nasuwałby porównanie z *Ulewą* z cyklu tatrzańskiego: oba należą do utworów, którym udało się wyrwać dźwięk z łona samego przyrodzenia. *Ulewa* jest śpiewem jednego instrumentu, *Pointe de Raz* to symfonia, obie jednak mają w sobie tę wspólną tajemnicę mowy żywiołu wyrazami języka ludzkiego. Ze stanowiska naszych rozważań są przedstawicielkami dwu grup w twórczości poety, *Ulewa* to przyroda, według nauki wiersza *Do Sieczki*, zupełnie oczyszczona od pierwiastka ludzkiego, *Pointe de Raz*, może ze względu na historyczną tradycję miejsc, która nawiała i wspomnienie o druidach, bez zawahania tłumaczy w ostatnim akordzie oceanowych rozhluków, że

Ten szum siekających deszczu różg,
Ten jęk piskliwych mew.
Ten wichru świst, ten fali plusk:
To Oceanid śpiew.

Wznosimy się zpowrotem w Tatry.

Pomiędzy ziemią, t. j. *Wstępem*, a niebem, t. j. *Nocą pod Wysoką*, leży pas poezyj niosących widoki górskie, i te nie tylko są najpiękniejsze w cyklu, ale błyszczą świetnością i w całości twórczości Asnyka.

Zasłużoną sławę posiadły *Ranek w górach* i *Letni wieczór*. Pierwszy wypływanie kształtów, drugi ich roztopianie się, dwa odwieczne a codzienne zjawiska, podchwytuje za sam serdeczny nerw, jeśli wolno się tak wyrazić: wprost z rąk ich sprawcy i artysty — światła słonecznego. *Crescendo* w pierwszym urywku, *diminuendo* w drugim wraz z „cichą poezją światów” przerzuca się nam w dusze i budzi wzruszenie. Musiała być ogromna głębia w odczuciach poety, skoro oba, ściśle skontrolowane wyrazowo i na uwięzi trzymane opisy tak się opierają o serca. Jest to oddawanie przyrody przez samą przyrodę; działa nie styl, nie obrazy, dość, jak

zwykle u Asnyka, pastelowe, lecz poprostu wejście całą jaźnią, wrażliwością wszystkich zmysłów i odbiorczością całej duszy w obiekt, bez wkładania wzamian psychiki ludzkiej w zjawisko. Oto próbki takiej „czystej przyrody”, takie dwa procesy „na żywo”:

Z Ranka w górach:

.
Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą, bujną rosą,
Świerki, trawy, mchy i zioła
Balsamiczny zapach niosą.

A blask spływa wciąż gorętszy,
Coraz głębiej oko tonie,
Cudowności świat się piętrzy
W wyłoczonej swej koronie.

Góry wyszły jak z kąpieli
I swem łonem świecą czystem,
W granitowej świecą bieli
W tem powietrzu przezroczystem.

Każdy zakręt, każdy załom
Wyskakuje żywy, dumny.
Słońce dało życie skałom,
Rzeźbiąc światłem ich kolumny i t. d.

Z Letniego wieczoru:

W półcieniu pierś olbrzymią
Podnoszą widma gór,
Nocnemi mgłami dymią,
Wdziewają płaszcz z chmur.

I wiążą swoje skrzydła,
Podarty kryjąc stok;
Jak senne malowidła
Powoli toną w mrok.

Tu i tam, tak samo zresztą jak w sonetach o Morskiem Oku, dopiero po wyczerpaniu się obrazu przychodzi akord uczuciowy.

Ranek mówi:

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma
I powietrze chciwie chwyta,
Dusza wybiec chce oczyma,
Upojona a nie syta.

Niby lecieć chce skrzydłata,
Obudzona jak z zaklęcia
I tę całą piękność świata
Chce pochwycić w swe objęcia.

A *Wieczór*:

Wieczoru blask niepewny
Oświetla obraz ten...
Ludzie w zadumie rzewnej
Gonią piękności sen.

Przy Morskiem Oku zaś źrenica pobożna wytryska obfitą źródłem łez, a dusza „nakrywa się własnych swych marzeń błękitem”.

„Artystycznie przesłiczny, koronkowo dziergany *Ranek w górach*,... najpiękniejsza idylla, jaką ktokolwiek kiedykolwiek o Tatrach napisał: „*Oto tatrzańska sielanka*” i *Letni wieczór* są najlepszymi rzeczami tatrzańskimi Asnyka i wogóle najczarowniejszymi, najsztudniejnymi poezjami, jakie o Tatrach napisano” — wyrokuje Tetmajer. Powiększając spis przez wymienioną już *Ulewę*, a rozszerzając sąd Tetmajera o idylli, t. j. o *Kościeliskach*, wskażę tymczasem mimochodem w tym naprawdę wyjątkowo uroczym wierszu klucz do badań nad pewnym twórczym rysem Asnyka, któremu należałoby się więcej uwagi niż jej się zmieści w niniejszym, innemu przedmiotowi poświęconym studjum. Myślę o posługiwaniu się wyobrażeniami ruchowymi, które jednak jego poezjom, jak już wiemy, nie nadają specyficznego ruchu. Są to poezje przede wszystkim kształtu. Aby odczuć, porównajmy choćby z Konopnicką, której utwory całe stoją na ruchu. Otóż *Kościeliska* — gdzie właśnie przedmiot tego nie wymaga — stanowią w tej mierze wyjątek. Są jednym biegiem, skokiem, jednym tanecznym zatoczeniem, gdy tymczasem sceny ludzkie,

zwłaszcza osadzone na tezie, przy niepospolitem pięknie asnykowskim, tylekroć uderzają trochę kamienną martwością.

Morskie Oko mniej zadawała Tetmajera: nazywa je zimnem, jak sama woda jeziora. Niemniej i ono ma dużą pozycję, tak estetycznie, jak dla wejrzeń w aparat twórczy poety. Prawda, uleciał wdzięk tamtych urywków, staw rozlewa się nie w uśmiechu, lecz w potędzie. Jest ona dla tego wykrawka bytu rysem tak istotnym, że myśl poety, cofnięta aż ku pierwotnym elementom ziemi, tu raz jedyny zdobywa się na dwie wizje — mitologiczną i literacką:

Dziki zamęt! Głazami zasłane koryta
Zdają się placem boju, gdzie niegdyś walczyły
Północne groźne bogi i krew ofiar piły
Z czary, która w jezioro upadła — rozbita.

(sonet II).

A w świetle księżyca:

Wybrzeża przeraźliwym odblaskiem się bielą,
Jakby pokryte zmarłych śmiertelną pościelą,
Czarne wody w płomienne rysują się pręgi.
Przypominając piekiel dantejskie okręgi.

(sonet IV).

I tu jest proces, historia przyrody: przesunięcie się dnia, wieczoru i nocy, przedstawione rysami samej przyrody, środkiem przeważnie wzrokowe, z ciekawym w sonetach III i IV finałem słuchowym. Konturu, ściślej jeszcze: rzeźby, więcej niż malowania, barwa góruje czarna, szara i biała z brzeżkami ze srebra lub czerwieni (charakterystyczne odcinanie innym kolorem obrysów u Asnyka). Gdy zestawimy te sonety z krymskimi, albo z nadzwyczajnej piękności sonetami tatrzańskimi Franciszka Nowickiego, pierwszym, co nas uderzy, po znanem nam już wyeliminowaniu podmiotu z akcji, będzie nieprawdopodobna oszczędność materiału słownego. Przy tamtych, bujnych i wrzących, przy wulkanach uczucia, czy kwietnikach wyobraźni, są to poprostu jakieś sonety-szkielety. Nietylko brak domieszki przeżycia własnego, ale co więcej, nie czuje się napewno, aby przyroda u Asnyka żyła.

W *Kościeliskach*, w *Ranku* i *Wieczorze*, nawet w *Pointe de Raz* i *Ulewie*, gdzie dźwięk i widok olśniewają prawdziwością, mamy królewską zmianę scenerji, grę lic, mamy zwycięsko wydobyty miąższ zjawiska, jednak wszystko to dzieje się w ziemi czy na ziemi, która może być biernym ekranem przebiegów, nie uosobioną, czującą, żywą w oczach poety istotą. Mówiłam już o tem przy *Wstępie* do Tatr¹⁾. Uleciał duszek, który tak świetnie pośredniczył między poetą a przyrodą w erotykach. Ani śladu tu tego panteizmu poetyckiego, który nie ma nic wspólnego z panteizmem myślowym, zato mówi o pierwszej inicjacji twórczej²⁾.

1) Punkt ten chciałam przeciwstawić powtarzającym się ostatnio coraz częściej próbom podsunięcia Asnyka pod wpływ Fechnera. *Zend Avestę* otwiera odrazu oświadczenie, że ziemia jest żywą istotą. U Asnyka poetycko, jak widzieliśmy, ani filozoficznie, jak w tej chwili ujrzymy, czy w *Nocy pod Wysoką*, czy w sonetach *Nad głębiami*, podobnego poglądu niema, jak wogóle niema Fechnerowskiego wszechożywienia czy wszechuduchowienia. Jest, prawda, wszechjedność, ale zupełnie na innym korzeniu rośnie.

2) Malowidła przyrody, nie na erotyzmie, lecz na myśleniu położone, a jednak miniaturowe, znajdujemy w noweli *Wśród lasu*, powstałej później niż przełom tatrzański. Po ładnym, spokojnie bardzo, z widocznym zastanowieniem i dbałością prowadzonym rysunku lasu, gdzie uderza usiłowanie nadania każdemu drzewu charakterystyki optycznej i psychicznej, czytamy następujące refleksje: „Przyglądałam się dziś z większą niż kiedykolwiek uwagą wszystkim najdrobniejszym otaczającym mnie przedmiotom i dostrzegłam takie bogactwo barw i kształtów w najniepozorniejszych mchach, porostach i pleśniach, taki wszędzie urozmaicony rysunek, taki układ harmonijny i tak odpowiednio zastosowany, żem zdumiona była podobnie drobiazgowem a mistrzowskiem wykończeniem tych napozór maluczkich i ubożuchnych plemion. Uderzyła mnie myśl bardzo widoczna, że wszystko, co żyje, a raczej wszystko, co istnieje, sili się urzeczywistnić w granicach swojego typu najwyższy stopień piękności, pragnąc osiągnąć dla siebie coraz to większą doskonałość, a zarazem zupełną harmonję z całym swoim otoczeniem. Wszystko tu się nagina i dąży do pewnych idealnych wzorów, których urzeczywistnienie jest jednym z koniecznych warunków życia i rozwoju. Wszędzie w naturze tkwi rozlana myśl symetrii, harmonji, wdzięku i piękności, która będąc środkiem do innych celów, jest jeszcze sama dla siebie celem“. Jest to poniekąd estetyczna wypowiedź Asnyka, zarazem jednak, w stosunku do wyrazów potęgi w Tatrach, owo drugie skrzydło małości, atomu, które kilkakrotnie przeciwstawia poeta ogromowi (*Wobec Sfinksa, Nad głębiami* sone VI i t. d.).

Jesteśmy na drugim biegunie wobec boskiej przesady, boskiego nadmiaru *Sonetów krymskich*, niejako runięcia na siebie w owym panteizmie dwu żywiołów: duszy i natury. Prawda, że nietylko sama istota artystyczna różniła poetów. Mickiewicz przybył na Krym młodzieńcem, przyroda rozhuśtała mu wyobraźnię, sonety były wyładowaniem oszołomienia; Asnyk stanął na Podhalu sterany myślą i uczuciem; góry go ukoiły, przepłotły w nim mękę na filozofję. Tetry asnykowskie, jak świadczy choćby *Wstęp*, kryją w sobie i rewizję wpływu przyrody na duszę i artystyczne zagłuszanie samego siebie. W zarejestrowaniu życiowym odpowiadają raczej *Panu Tadeuszowi*, który też uciszył poetę przez skąpanie w zobjektywizowanym elemencie miłości, godzącym twórcę z samym sobą.

Była noc z 26 na 27 lipca roku 1876. Po trzydniowym kołowaniu u stóp dziewiczej, nietkniętej jeszcze nigdy stopą polską Wysokiej, przed datą, która miała dać zwycięstwo, Asnyk z dwoma towarzyszami i czwórką przewodników, między nimi zwykłym swoim Sieczką, zatrzymali się dla noclegu pod gołym niebem, nad brzegiem, o ile słusznie odgaduję, Zmarłego Stawu w dolinie Czeskiej¹⁾. Słońce ze-

¹⁾ O wejściu na Wysoką pisał jeszcze za życia poety w „Tygodniku Ilustrowanym“, 1895, dyr. Józef Kotarbiński, że „Asnyk z Mieczysławem Pawlikowskim i przewodnikiem Sieczką, w dniu 27 lipca 1876, wdarł się po raz pierwszy, po trzydniowym szukaniu dostępu, na szczyt stromej i śpiczastej Wysokiej, którą poczytywano przedtem za niedostępną“. Zapytany przezemnie, skąd brał tę wiadomość, dyr. Kotarbiński odpowiedział, że dziś już nie pamięta, jednak pisząc, opierał się na danych zupełnie pewnych. Fakt mimo to wydawał mi się wątpliwy, zwłaszcza po znalezieniu w księżeczce Chałubińskiego: *Dziesięć dni w Tatrach*, szczegółów, które niebardzo się z nim godziły. Chcąc dojść koniecznie do rozstrzygnięcia, zwróciłam się do znakomitego znawcy historii Tatr i taternictwa, dr. Mieczysława Świerza. Odpowiedział mi listem, którego główny ustęp przytaczam dosłownie: „Asnyk nie jest zdobywcą Wysokiej. Pierwszy wyszedł na ten szczyt alpinista węgierski, Maurycy Déchy z przewodnikami Marcinem Spitzkopfem i Janem Rumanem, dn. 3 września 1874 r. Natomiast jako druga wogóle partja, a pierwsza polska — wdarli się na Wysoką: dr. Adam Asnyk, Mieczysław Pawlikowski

śliznęło się niebawem z wierzchołków gór, kotlinę brał w posiadanie mrok. Głuche, ciemniejące niebo wisało nad odludziem i mógł Asnyk powtórzyć uczucia swoje za Pascalem: „Le silence de ces espaces infinis m’effraye”. Jak znać lęk „myśli zbłąkanej w państwie nieruchomem”, gdy „mrok zwiększył martwość pustkowiecia kamienną”, a z przepaści powstał genjusz tych wyżyn, surowy i groźny i począł mierzyć poetę oczyma!

Pokonany uczuciem grozy, cofnął się pod dach gościnnych kamieni i złożył głowę na posłaniu z mchów. Opadło go półsennie dumanie, może zrazu coś niby echo — w spotęgowaniu, — dalekiego czerwcowego wieczoru, kiedy stracił rozróżnienie, co jest w nim, a co poza nim¹⁾. Noc wlała się w kotlinę, nawet błękity, „oprawne dołem w czarnych skał krawędzie, stały się więcej ciemne, przepaściste”. I tylko „dwie wierzchołka wieże, dwa wyniesione ostrokągi cieniu, chwiać się zdawały w niebieskim eterze, przy migotliwym drżących gwiazd promieniu”.

A wtedy zaszło coś niezwykłego. Widocznie dobra piastunka, bohaterka tatrzańskiego *Wstępu*, kiedy ten Anteusz dotknął się jej piersi z głazów, podała mu, jako lżys czarna, kwiat lotosu, trzymany w miłującej dłoni:

Cisza! a jednak w tej pozornej ciszy
Wysłuchane ucho ciągle wrzenie słyszy, —
Szmer nieustanny, na który się składa
Wszystko, co głosem z życia się spowiada:
I woda, która gdzieś w dolinie syczy,
I fal powietrza szelest tajemniczy,
I pękających głazów łoskot głuchy,
I wszystkie świata nawpół senne ruchy.

i Jan Gw. Pawlikowski z przewodnikami: Maciejem Sieczką, Józefem Sieczką, Janem Fronkiem i Jakóbem Giewontem, dn. 27 lipca 1876 r., przyczem w zejściu znaleziono nową drogę ze szczytu przez Przełęczkę pod Kogutkiem na przełęcz Wagę (między Rysami a Wysoką). Droga ta dzisiaj jest najbardziej uczęszczaną z dróg na Wysoką. Ci sami turyści z tymi samymi przewodnikami dokonali po: rzadniego dnia, t. j. 26 lipca 1876 r., pierwszego przejścia przełęczą, zwanej Zachodnimi Żelaznymi Wrotami (łączącej Dolinę Kaczaj z Doliną Złomisk)“.

¹⁾ *W noc czerwcową*, p. wyżej str. 14.

Już kiedyś, przed laty, pamiętał Asnyk podobną noc.
Podążał wówczas zdali jako wędrowiec do dawno porzuczonego domu. I wtedy tak samo

nic nie było słychać — prócz tych szmerów.
Co się być zdają nadziemskich eterów
Falistem drżeniem i spływają w pieśni,
Gdy je noc ujmie w dźwięk i ucieleśni;
I nic nie widać — prócz tej gry znikomej
Drżącego światła i przelotnych cieni,
Która na fali powietrza ruchomej
Niepewne kształty rysuje w przestrzeni ¹⁾.

Tylko, że tamtej nocy ze srebra miesięcznego wypłynął
przed nim kamienny grobowiec, cmentarz uczuć i szczęścia.
Raz, w jakiejś innej chwili twórczej, przejrzał, co znaczy
owa muzyka sfer, że to

Anielskie śpiewają chóry
W gwiazdzistym błękitów morzu,
Śród nocnej ciszy przy łożu
Sennej natury.

ale śród biednej, zmęczonej ludzkości pieśń natchnioną usłyszą tylko ci, co toną w pragnieniu wielkiej miłości. Pieśń głucha była długo i dla serca poety; pod Wysoką dźwiękła mu, ale nowym, innym głosem, nie głosem aniołów.

Niegdyś, na dalach pamięci historycznej człowieka, Hezjod, jako młode pacholę ²⁾, baczył — tak opowiada — kierdeli na halach u Helikonu, wielkiej, pięknej góry, i tam, pod niebem, przepęczał noce.

Aż jednej nocy, jako ta dziś, — nie chciał
sen się mnie imać. Bo świeciły gwiazdy
wszystkie na niebie i świeże z kąpieli
swojej wschodziły Plejady, co niwie

¹⁾ W pięknym studjum prof. Józefa Rostafińskiego: *Nowy zwrot w poezjach Asnyka*, znalazłam to samo przychwycenie podobieństwa między *Powrotem do domu* a *Nocą pod Wysoką*.

²⁾ W poemacie Giovanniego Pascolego p. t. *Il poeta degli Iloti* (Poeta Helotów).

pług ostawiają, a znachodzą kosę.
Bezsenno-m słyssał, jako szumią bory,
jak wody cieka, szeleszczą ruczaje.
Jakiś się zapach wzbijał nieskończony
z wilgotnych łęgów, wszystko było ciszą
i wszystko głosem, wszystko pieniem było.
Ażem się cały poczuł dla wszeświata
otwarty, ten zaś zalał w jednej chwili
jestestwo moje, a ni sen tak lekko
nie wchodzi w oko nasze, choć zamknięte.
I wszystko-m w sobie naszedł, to co wprzódy
zza mnie szło, w sobie naszedłem to pienie,
które się tłukło w duszy zbłękitnionej,
pełnej—w otchłani mroku—gwiazdnych rojów ¹⁾.

Jakiś gład oderwał się od zbocza tatrzańskiego i stoczył w bezdeń doliny. Grad kamieni zachrzęcił w ciemnościach, huknęły wszystkie echa. Ale okowy strachu spadły już były z duszy, i kiedy spokój powrócił na nowo, poczęła się zeń snuć jak wstęga „cicha pieśń natury w gwiazdziste sfery, w przestrzeń nieskończoną”, aby zlać się z całą harmonją zaziemskiego świata.

To, co teraz, słuchem dążąc za tą pieśnią, mówi Asnyk, jest tak niepospolicie ważne, tak każdym wyrazem podtrzy-

¹⁾ E in una notte come questa.. il sonno non mi voleva. Chè splendeau le stelle tutte nel cielo, e fresche del lavacro veniano su le Pleiadi che al campo lascian l'aratro e trovano la falce.
E insonne udivo uno stormir di selve, un correr d'acque, un mormorio di fonti.
E s'esalava un infinito odore dai molli prati, e tutto era silenzio, e tutto voce; ed era tutto un canto.
Ed ecco tutto io mi sentii dischiuso all'universo, che d'un tratto invase l'essere mio; nè così lieve un sogno entra nell'occhio nostro, benchè chiuso.
E tutto allora in me trovai, che prima fuori appariva, e in me trovai quel canto, che si frangea nell'anima serena, piena, nell'alta opacità, di stelle,

mujące jego przysły gmach myślowy, że niepodobna tłumaczowi zabierać głosu w jego imieniu. Asnyk mówi:

Wład za tą pieśnią myśli moje biegły,
Wyswobodzone z tłoczącej je grozy.
Wolny, choć prawom powszechnym podległy,
Duch mój wstępował na gwiazdziste wozy
I tracił z oczu ludzkich istnień chwile
I wydeptany ślad na ziemskiej bryle,
I zapominał o swojej obroży
I o boleści, co go we śnie trwoży..
On się zanurzył w źródle wiecznie-żywym,
Poruszającym wielkie koło bytu;
Uczuł się jednym łańcucha ogniwem
Rozciągniętego przez otchłan błękitu;
On znalazł wspólne ognisko żywotów
I związek z całym ogromem stworzenia,
Z wieczystym duchem, co mu podać gotów
Rękę z ciemności, albo z gwiazd płomienia:
Więc w rozpostartej na przepaściach nocy
Już opuszczenia nie czuł i niemocy,
I mógł się poddać, jako drobny atom,
Tej twórczej myśli, co przewodzi światom,
I z nieodmiennym zgodzić się wyrokiem,
I odpoczywać, jak pod matki okiem.

Tak wygląda duchowa kolumna tatrzańska na tle twórczości Asnyka, wyniosła naprawdę, jak zaznaczyłam, od ziemi do nieba. Człowieka, co się łamał uczuciami, pisząc *Tym którzy smutni*, *Rezygnację*, *Sam na sam*, powitało w Tatrach błogosławieństwo ziemi, myślicielowi, który dotąd, pełen rozpacz, błądził wobec sfinksa i „strawił wiek cały na dochodzeniu tajemnych praw bytu”, otworzyła się na przestrzał głębia niebieska dla uwolnionego ducha. Noc spędzona pod Wysoką to cud świętego Graala dla myśli Asnyka, przełom od zwątpienia ku pozycji. Wysoka—to jego Helikon. Bo jak Hezjod, po objawieniu, w którym wszeświat zalał jego jestestwo, zaczął dawać z siebie ludziom wieści o początku nieba i ziemi, tak Asnyk, odrodzony pod Wysoką, poszedł zbierać prawdy bytu nad głębiami. Od owej pamiętnej nocy jest już gotów na tę najbardziej filozoficzną wyprawę w całej poezji polskiej.

Myśl, która wtedy przyplęnęła do niego na falach muzyki sfer, to świadomość wspólności duszy i wszeźwiata, świadomość tych samych źródeł atomu i ogromu, trafienie do jakiegoś ogniska, jednego dla wszystkich żywotów, które nietylko daje jasność rozumieniu, ale i ciepło opuszczonemu dotychczas w poczuciu swej małości sercu. Czy to jest panteizm? Prawie, ale niezupełnie, w każdym razie w księdze filozofji poety *Noc pod Wysoką* jest kartą najbliższą tego stanowiska. Kwestja nawinie się nam po raz wtóry przy roztrząsaniu sonetów *Nad głębiami*, gdzie się z bogaci o inny element wspólności, opadnie zato w bezpośredniem podmiotem jej odczuciu.

Pomimo wszystko nie spuszczaemy z uwagi faktu, że noc pod Wysoką, choć dała się zanurzyć duszy w „źródle wiecznie żywym, poruszającym wielkie koło bytu”¹⁾, mówi tylko o związku z jakimś dalekiem ogniskiem, o duchu, który gotów podać rękę z ciemności albo z gwiazd płomienia²⁾. Ostatecznego zlania się, uczynienia się jednym, wzięcia w siebie wszystkiego, poczucia się samemu wszystkością tutaj nie wykrywamy.

1) Właśnie ze względu na owo „wiecznie żywe źródło” podsuwam rozważany w tej chwili poemat, bardziej niż inne punkty twórczości Asnyka, pod filozoficzny panteizm, co przytem nie staje w najmniejszej sprzeczności z uwagami, które poczyniłam przy analizie artystycznej cyklu tatrzańskiego, co do nieobecności w opisach momentu życia przyrody.

2) Dla ocenienia olbrzymiej drogi, jaką duch poety odbył w przeciągu krótkiego czasu od ciasnego kręgu uczuć i miejsc, od ziemi do nieskończonego przestworu, i od chwili do wieczności, zestawmy, cechujące owe dwa momenty, a nieco podobne, choć zarazem kontrastujące ze sobą obrazy.

Przed wzniesieniem się ducha:

Genjusz tych wyżyn, surowy i groźny,
Powstał z przepaści, mierząc mnie oczyma,
Swego oddechu słał mi powiew mroźny
I naprzd rękę wyciągnął ołbrzymia,
Rozpościerając dokoła nademną
Milczenie pustyń, nieskończoność ciemną.

A oto ta druga melodia, której brak nam pod Wysoką dla pełnej symfonii *Nad głębiami*.

Miłość poety do przyrody rosła i bogaciła się nie dzięki wyłącznie przeżyciom osobistym. Miał do niej inną jeszcze drogę — skroś nauki. *Wobec Sfinksa* ukazuje nam wszystkie naczelné zagadnienia, u których zostawił ślad swojej niestrudzonej stopy.

Pozytywizm jako filozofja nie zadowolili go bez reszty, w *Nad głębiami* zabiegnie myślą daleko poza grodzony od wierzchołka wszeświat; natomiast badania ściśle przyrodnicze Darwina i Spencera wsuną mu w rękę broń, nietylko do przecinania się teoretycznego przez gąszcz problematów naukowych, ale i do zwalczenia najgorszego wroga: zatury wiary w losy własnego narodu, w przeznaczenie ludzkości, w zwycięstwo dobra na świecie. Tą bronią, tem zbawczem narzędziem myśli będzie teoria rozwoju. Ona sprawi, że chwila czarna, jaką miał przed oczyma po zdławieniu powstania, po zgaśnięciu idealizmu i poezji w drugiej połowie XIX wieku, wsiąknie jako jeden, kierowany prawem powracających wznoszeń się i upadków, moment na drogach dziejów. Nie samo jedynie wstawienie zasłaniających widnokrąg nieszczęść w perspektywę historii da Asnykowi pociechę, ale niezmiernie ważnem będzie, dzięki temu wspólnemu dla całego istnienia

I tę samotność zamarłego świata,
Co dziwnym smutkiem ludzką pierś przygniata,
Samotność, w której milczącym ogromie
Człowiek swą słabość poznaje widomie
I chce się cofnąć przed nieznaną mocą. —
.
Przed rozpasanych żywiołów odmětem,
Przed nieświadomem... tajemem... nieujętem.

A po wzniesieniu, kiedy poczuł krzepiący związek z całym ogromem stworzenia,

Z wieczystym duchem, co mu podać gotów
Rękę z ciemności, albo z gwiazd płomienia,

opadło z niego wrażenie opuszczenia i niemocy i mógł się poddać, jako drobny atom i t. d. do końca poematu.

prawu, scementowanie dotychczas luzem idących dziedzin: przyrody i ludzkości, natury i ducha¹⁾. Noc wtajemniczenia pod Wysoką dała mu wyczuć jedność wszystkiego — ale w momencie, w przestrzeni, niejako nieruchomo, bez akcji, bez konsekwencji. Prawo ewolucji wzięło na swą falę dreszcz tego wycucia i rzuciło na cały nieskończony bieg kosmiczny. wstecz i wprzód.

Prawdy przyniesione z Italji o ludzkości zaczynają się zlewać we wspólny kształt z prawdami znalezionymi w Tatrach o ziemi i gwiazdach. Asnyk nie przerzuca się już z półkuli na półkulę, z nastroju do nastroju, cokolwiek pisze odtąd, na jakiegokolwiek roli będzie uszczknięte tematem, zmierza ku jednemu, patrzy w jedno i jednego uczy²⁾.

Tem co najbardziej wołało o lek teoretyczny, co najlepiej krwawiło serce, była krzywda, była przemoc, niewytłomaczona niczem, zwycięstwo siły brutalnej nad miłością, wszystko, czego tragiczną ilustrację stanowiło powstanie. To też kiedy zaleje krwawe rany rzucony przez poetę potężny strumień rozwoju, uderzą nas na nim raz po raz podkreślane „porohy”, akcent szczególny, jaki Asnyk położy na uznany przez siebie za główny motor i znamię tego rozwoju — gwałt. Możemy śmiało powiedzieć, że u niego gwałt gra w ewolucji tę samą rolę, co w mistycznej nauce rozwojowej Słowackiego ofiara. Jeżeli Darwin i wogóle przyrodoznawstwo mówiło o walce o byt jako warunku przemian, to Asnyk prawu temu nadał piętno — przynajmniej na ludzkiej połaci bytu — dobrowol-

1) Sam świat ludzki nie był w stanie dać Asnykowi odpowiedzi na zagadkę cierpienia, sama przyroda nie dawała odpowiedzi na zagadkę bytu. Póki mu się te dwa światy nie zwały, po pierwszej stronie stawiał różne załamane próby pociechy, jak *Asceta*, po drugiej *Wobec Sfinksa*. Może pewnego rodzaju szukaniem mostu był rozważany wyżej paralelizm, jakby przeczcucie, że dopiero z uchwycenia dwojga w jedno uderzy na duszę światło.

2) Asnyk do końca pozostał wierny Italji. Była ona potrzebna samej roślinie jego duszy. Mitologiczna Kora dzieliła istnienie swe na półrocze w słońcu i półrocze w królestwie cieni, z którym ją związała węzeł uczucia. Tak i Asnyk, z krainy, co była właściwą ojczyzną jego psychiki, wracał z nowem pobudzeniem twórczem do ideowo górnej, ale tragicznej połowy swego bytowania, przy której jednak stał na kotwicy serca.

ności i samowiednego wznoszenia się. Istoty żywe w *Genezis* z *ducha* same poddały się śmierci w tęsknocie ku doskonalszym postaciom, istoty szlachetne i rozumiejące tęsknią u Asnyka do gwałtu i przyjmują go na siebie, wiedząc, że przez to po nich wzniesie się o szczebel drabina rozwoju.

Gama zaczyna się odrazu przy *Kamieniu*. Trochę w nim jest tonu schellingowsko-heglowskiego i jakby zlekka prześwieca Słowacki¹⁾. Kamień, choć go „ledwie świt ducha półsenny zwie z łona martwoty”, marzy już o przyszłym gwałcie, który go wydzwignie do kręgu doskonalszych tworów:

I wierzę, że ten, co kruszy
Dziś moją powłokę grom,
Otworzy dla mojej duszy
Wspanialszy cielesny dom.

I witam z dreszczem rozkoszy
Każdy zadany mi gwałt,
W zniszczeniu, co mnie rozproszy,
Zgadując przyszłości kształt.

Przez wszystkie śmierci ogniwa
Postępu ciągnie się nić;
Ból samowiedzę zdobywa:
Chcę cierpieć, kochać i żyć!

Gwałt coraz częściej zaczyna brzmieć w pięciowych rymach Asnyka i drapieżną, a przecie dobroczynną swoją mocą wspina się na wyższe wciąż okolice. Przepyszny *Chór Oceanid* śpiewa na jego cześć majestatyczny hymn; serce poety, zamykające się w sobie jak mimoza na każdy brutalniejszy objaw życia, w imię nauki tego surowego mistrza przystaje na radykalne prądy społeczne, które nie cofnęłyby się przed czerwonym wstrząsem (*Przed jutrem*). I w sobie samym pozwala bólowi kruszyć wszystko, co się wiąże z oso-

¹⁾ Można powiedzieć, że gdyby, zamiast zwykłego intelektualizmu, nie leżał na tym wierszu, wyraźniejszy niż gdziekolwiekby u Asnyka, znak emocjonalny, zachodziłoby i niezaprzeczone podobieństwo między *Kamieniem* a teorią Leibniza o coraz jaśniejszym rozumieniu, które stanowi treść rozwoju od „nagiej i ślepej” monady, mętne tylko mającej wyobrażenie o sobie i świecie, aż do najwyższych szczebli, do samowiedzy w człowieku.

bistem pragnieniem i deptać swoją ziemską istotę ułomną, a nawet Djonizosowi kładzie w usta wyrok, wprost godzący w jego własne serce. Każe bogu usprawiedliwić czyn bachantek, których ręce uśmierciły śpiewaka ideału:

Musi zapomnieć ziemia o swych stratach,
Aby na nowo stanęła w rozkwicie,
W namiętym szale i weselnym szatach
Musi biec dalej odmłodzone życie.

Ale jeszcze wznioślejszy i bliższy prawdy jest inny bóg, który nie tylko rozgrzesza, bo rozumie, ale sam na siebie żąda gwałtu, i w dniu dokonanego na sobie świętokradztwa odrzuca obronę kapłanów, oznajmiając im, „że dziś swój tryumf święci”

Mnie topór nie powali,
Choć raz rozbija głaz,
Lecz kształt mój doskonali
Każdy zadany raz.

Zniszczenie mnie odmładza,
I ogień mnie oczyszcza,
Padając, moja władza
Wyrasta silniej z zgliszcza...

I zgina znów kolana
Przedemną cały lud..
A ciągnęła ta przemiana —
To mój największy cud.

(Bóstwo tajemnicze).

A więc od kamienia do Bóstwa wszędzie jedno prawo. Bo we wszystkim, pod przemianami, trwa wiecznie jedna treść istotna, nieśmiertelna: wspólnych źródeł samowiedza, wyczuła pod Wysoką, a w jej świętem korycie wszystko płynie, uszlachetnia, się dąży. Cały wszeświat jest w ruchu.

Możemy teraz na kolumnach poznanych prawd położyć ten, o którym była mowa na początku, wspaniały fryz asnykowskiej syntezy.

Z cyklu *Nad głębiami* zatrzymują nas obecnie tylko punkty, które bezpośrednio dotyczą przyrody. Jeżeli kiedyś, wobec Sfinksa, myśl poety raz po raz ze wszystkich biegów wracała bezsilna na ziemię, to tutaj zdobywa się na bohaterstwo opowiadania o tem, co przeczytał w otchłaniach górskich, a co Mickiewicz, mniej w tej chwili od niego odważny, choć też dostrzegł w jakiejś przerażającej krymskiej czeluści, opowie dopiero po śmierci, „bo w żyjących języku niema na to głos”¹⁾. *Nad głębiami* to właśnie majestatyczna opowieść o rzeczach, na które w języku żyjących, a przynajmniej w języku poezji, nadludzko trudno o głos.

Jednak Asnyk, więcej niż przeciwko beznadziejnemu wysiłkowi głosu, zawarowuje się przeciwko daremności drogi pomiędzy człowiekiem a dzierzawami, których podboju dokona. Trzy pierwsze, a nieco słabiej jeszcze i dwa następne sonety mówią o bezsilności naszej władzy poznawczej. Po podcinającym skrzydła wyruszeniu musiała jednak ogarnąć duszę poety świadomość zwycięstwa, bo zachodzi nawet dość interesujące przeciwstawienie między sonetami I i I a XXV. Pierwszy uplastycznia tragiczną podmiotowość wszystkich naszych stosunków ze wszeświatem we wspnianym obrazie wzrokowym, drugi to samo upośledzenie maluje kategorjami słuchowemi. Fala oceanu-bytu, zamiast odwiecznych istnienia tajemnic, ukazuje nam odbitą naszą własną twarz i „widnokrąg cały się powleka rzuconem w wszechświat odbiciem człowieka”. Sam on zaś, wszeświat, stoi jak zawsze niemy i tylko „my biedni nieraz za prawdę bierzemy ten głuchy oddźwięk własnej wyobraźni, sądząc, że słyszym tajny głos natury”. Tymczasem sonet XXV z doskonałą pewnością siebie i poczuciem zupełnego uprawnienia oznajmia:

Natura twórcza, wieczna, bezcelowa,
Nie da się zmieścić w naszych pojęć ramie;
Więc wiecznym prawom, co w swem łonie chowa

¹⁾ Już po zanotowaniu tej myśli przekonałam się, że i Tretiak (*Adam Asnyk jako wyraz swojej epoki*) przeciwstawił *Nad głębiami* słowom pielgrzyma nad przepaścią Dżekud-Kale.

I konieczności. co nas wszystkich łamie,
Ludzkiej dążności narzucamy znamię.
Na ludzki język tłumacząc jej słowa ¹⁾.

A skoro tak, to możemy zamknąć oczy na udręki nie-
poznawalności i zabieramy się do wznoszenia systemu.

Niebyt nie istniał wtedy, ani byt nie istniał,
Nie było też przestrzeni, ni nieba u góry.
Co rwało się ku życiu? Gdzie? W czyjej opiece?
Gdzie wody morskie były, otchłanne, głębokie?

Śmierć nie istniała wówczas, ani nieśmiertelność.
Pomiędzy dniem a nocą nie było rozłamu,
Przez własną moc to JEDNO bez tchu oddychało,
I nic innego nigdzie prócz niego nie było.

Ciemność była z początku ciemnością okryta,
To wszystko było morską otchłanią bezkształtną,
Pustkowiec źródło bytu było otoczone,
Z niego JEDNO powstało przez potęgę żaru ²⁾.

Tak rozumiał „początek” wysoki duch induski na całe
stulecia przed naszą erą. Asnyk, zanurzony w te same gene-
zyjskie czeluście, powie:

Noc, noc wieczysta, głąszą przedbytową
Otocza kręgi drgające istnienia —
Noc i pierwotny eter bez skupienia,
Bez związku z światów fizyczną budową.

Swą jednolitą nicość rozprzestrzenia,
Z której dopiero falę światów nową
Wirami mgławic skłębionych pierścienia
W przyszłości twórcze wyprowadzi słowo.

Noc, noc wieczysta! W jej bezwładnej czczości
Zaden istnienia odblask nie zagości;
Nic się nie zmienia, nie drga, nie posuwa

¹⁾ Porówn. str. 42, dopisek 1.

²⁾ *Czterdzieści pieśni Rigwedy. Pieśń: Początek rzeczy.* Przekład polski
Stanisława Fr. Michalskiego. Warszawa — Kraków 1912.

I nic nie mierzy tej pustej wieczności:
Tylko Duch Świata bezustannie czuwa
I przyszłych istnień z siebie nic wysnuwa ¹⁾
(sonet VIII).

Dwa podobne między sobą czarne płótna nicości, tylko inne jest wyjście na koleje kosmosu dla dziecięcej myśli aryjskiej, inne dla zaprawionego na naukowych systemach myśliciela. W tle niebytu asnykowskiego już mający zapowiedź przyszłego procesu poprzez wiry skłębionych mgławic. W sonecie Kant wiąże się z Plotynem w owym Duchu Świata, który z siebie wysnuwa nic przyszłych istnień, a który może niezupełnie przystaje do wymienionego o pięć wierszy wyżej „twórczego słowa”.

Nie wdaję się na tem miejscu w ściślejszą analizę tego pierwszego zahaczenia światów, które niejedną uwagę nasu-

¹⁾ Rzucam tu na razie jedno zdanie co do faktu, któremu na innym miejscu poświęcę więcej uwagi, a mianowicie, że jeżeli Asnyk jako malarz przyrody nie dopuszczał do silniejszego głosu wyobraźni, to jako filozof obrazuje, jak na siebie, o wiele obficie. Nie wychodząc nawet poza opisywany w tej chwili cykl, możemy zanotować cały szereg uderzających, albo pięknych porównań, np. pierwszy czterowiersz sonetu VI z wysoce poetycznym nazwaniem promienia świetlnego „uskrzydłonym gońcem przestrzeni”, określenie śmierci jako „błędnej druchny przemian” albo „chorążego ciągłego postępu” i t. d., i. t. d. Porównanie płynących pokoleń do ptaków, kiedy odlatywać poczną (son. IV), przywodzi na myśl, jako obraz tylko, przy całej różnicy leżącej pod obrazem treści, scenę z V pieśni *Piekieła* Dantego, gdy potępieni gnani są ustawiczną wichurą, daremnie marząc o spoczynku:

E come gli stornei ne portan l'ali.
Nel freddo tempo, a schiera lunga e piena,
Così quel fiato gli spiriti mali

Di qua, di là, di giù, di su li mena:
Nulla speranza non li conforta mai,
Non che di posa, ma di minor pena.

Warto zastanowić się, że Asnykowi nieskończoność pierwszy raz przemówiła do bezpośredniego odczucia w Tatrach, dla jej malowania poetyckiego jednak posługuje się zawsze tylko obrazem morza (sonety: I, cały bardzo piękny właśnie jako obrazowanie, i VI). Morze rzeczywiste w poezjach jego występuje dwa razy: w spokojnym opisowym urywku: *Noc na morzu* (*W drodze z Malty do Goletty*), gdzie jest jedna chwila odbicia się myśli od

wałoby naszym myśлом¹⁾. Jest to punkt dla Asnyka naj-
uciążliwszy; gdy raz byt, tak czy inaczej, z siebie wynikł,
ma już poeta klucz do dalszych tajemnic: ewolucję. Ona
żądałaby raczej i u początku bytu zamykającej sonet VIII
myśli o emanacji, tymczasem sonet poprzedni (VII) tak samo
łączy na przestrzeni dwu tercyn „wyprowadzanie wszystkiego
ze swego łona” i „kierującą władzę”. Obraz i myśli tego
sonetu niezupełnie łatwo wsiąkają nam w wyobrażenie i zro-
zumienie. Zobaczmy:

Rzucone w przestrzeń złotych gwiazd kagańce,
Te wirujące światów zbiorowiska,
Skupione bytów chwilowe ogniska,
Ten cały ogrom, za którego krańce

Nie mogę sięgnąć — przygodni mieszkańce —
Z nieskończoności toni bez nazwiska
Wzniósł się, podobny wirującej bańce,
Która na fali tęczy i błyska.

Niesie go z sobą *ta nieznana fala*, —
Co poza bytem będąc, byt okąła
I wszystko z łona swego wyprowadza,

wrażenia przeżywanego poza świat dotykalny, i w stanowiącym przeciwny biegun
tego odczucia *Pointe de Raz*, który nazwałabym, w drugiej części, najmocniej-
szym i najbardziej żywiołowym ze wszystkich wierszy Asnyka. Jest tu oblicze
potęgi natury, nie sądzę jednak, aby wpatrzony w nie poeta miał w piersi
zwykły dech swojej nieugiętej i twardej, przedewszystkiem jednak znamien-
nie spokojnej nieskończoności. Nieco podobne jak Asnyk znalazł dla nie-
skończoności porównanie z oceanem Milton w *Raju Utraconym*:

Illimitable Ocean, without bond,
Without dimension! where length, breadth and height
And time and place are lost! Where eldest Night
And Chaos, ancestors of Nature, hold
Eternal Anarchy amidst the noise
Of endless wars, and by confusion stand.

Przy pewnem jednak podobieństwie panuje u Asnyka w przeciwsta-
wieniu do chaosu — prawo, i do hałasu — bezgłos, a przynajmniej tylko dla
rozumiejących dosłyszalna, harmonijna pieśń natury.

¹⁾ Filozofji Asnyka poświęcony będzie oddzielny rozdział w przyszłej
mojej monografii o Poecie.

I nowe słońca w przestrzeniach zapala,
Gdy nią poruszy kierująca władza,
Co byt na głębiach nicestwa osadza.

Trzeba sobie zobrazować jakąś spółośrodkowość: w samym centrum wszeświata, wirujące kagańce słońc, i do nich właśnie, mimo, że są to chwilowe, podobne tęczącej bańce zbiorowiska światów, odnosi się pojęcie bytu. Poza bytem, wokół niego, rozlewa się fala, która wszystko wywodzi z siebie. Nie tkwi tedy w samym owym kłębowisku słońc, nie snuje bytów od środka, ale zzewnątrz i wysyła swą siłę niejako ku centrum. Nie tkwiąc w bycie, okalając go, nie jest z nim tożsama. I mamy oto argument przeciw czystości panteizmu asnykowskiego. Ale postąpmy krok głębiej. Wewnątrz owej poza-bytowej fali, czy może nawet dalej jeszcze, poza jej obwodem, ma swe siedlisko poruszająca władza, co byt osadza na głębiach nicestwa: twórcze słowo z sonetu VIII-go. Pozornie są trzy momenty, niewątpliwie nie było jednak w myśli Asnyka takiego różnicowania. Duch świata — a on to napewno jest wspomnianą kierującą władzą — jeśli z siebie wysnuwa nic istnień, jest wyraźnie identyczny z okalającą falą, którą od czasu do czasu porusza. Lekka granica zostawałaby jedynie między pozornie dwojącą się stroną czynną, a „wewnętrzzną” stroną bierną — bytem. Granica, przeświecająca z pierwszych genetycznych sonetów, jest jednak wielce delikatna i może zupełnie w myśli Asnyka bezwiedna, bo cały system, umieszczony na prądzie ewolucji, ma właśnie oblicze wybitnie monistyczne.

Drogi rozwojowej świata nie oglądamy w *Nad głębiami* tak dokładnie jak w *Kamieniu*, w *Mgławicach* i t. d., nie towarzyszymy przeskokom ze szczebla na szczebel, przelewaniu się formy w formę przez nieodzowne sito gwałtu, zyskujemy natomiast spojrzenie na tę samą kwestję pod innym, nie mniej doniosłym kątem, mianowicie zagadnienia nieśmiertelności. I ta sprawa u Asnyka domaga się omówienia szczegółowego bardzo, tu jest miejsce jedynie na charakterystykę w przelocie. Nieśmiertelne jest to, co ogólne, nic z tego, co indywidualne, „nieśmiertelnością za grób nie uleci”. Kilkakrot-

nie otarliśmy się już o ten pogląd, we Włoszech i w Tatrach. Przez naszą istotę niejako idzie przełupanie na składniki osobnikowe i ogólne, pierwsze, które nas wyodrębniają z wielkiej masy wszeświatowej, drugie, które nas łączą, które są dokładniej jeszcze: jej cząsteczką w nas ¹⁾). Nieświadomi tego, budujemy wartości swoje ludzkie na jednym i drugim terenie, przywiązujemy się do materiału z jednego i drugiego odłamu, tymczasem pierwszy jest płonny i kończy na nicości, drugi jedynie zapewnia naszemu spółdziałowi w życiu świata trwałość i ważność, pomimo pozornie wiszącej nad nami śmierci. To wzniesienie się ponad własny indywidualizm ma dwa wiązadła ku ogólności: pierwsze, ważne dla etyki, wykazuje jedność indywiduum z ludzkością, społeczną, minioną i nienarodzoną jeszcze, drugie spina nas z przyrodą, z całością stworzenia, jako takiego. Z tego tylko stanowiska—jedyny raz na polach twórczości Asnyka—znajduje się legitymujący wyrok dla indywidualizmu: każdy z nas odbija inną cząsteczkę ogromu; poza różnicę w odbiciu niech nas jednak pycha nasza nie wyprowadza. Od zachnięcia się przeciw wyobraźni gdzieś na jakimś konkretnym wierzchołku Tatr, aż tu, po rzucenie wtajemniczonego spojrzenia na samo oblicze ogromu, Asnyk jest konsekwentny w swojej obronie ogólności.

Ona to — nie jakbyśmy się ludzi mogli, szeroki oddech dla (znikomej) indywidualności—jest wyjściem ducha ludzkiego na wolność. Albowiem:

Choć w praw niezmiennych poruszasz się kole,
 Jeśli rozpoznasz twórcze ich zamysły
 I ten ich związek z dobrem świata ściśły
 I cel ich wieczny w swoją wcielisz wolę —
 Wtedy swobodne masz do czynu pole:
 Opadło jarzmo, więzy twoje przysły:
 I jako czynnik chętny, niezawisły,
 W rozwoju świata grasz świadomą rolę.

¹⁾ Wyrazu „masa“ nie używam w znaczeniu fizycznym, ale jako całości kształtu, ogółu, — poprostu by nie wpadać w ciągłą tożsamość terminów. U Asnyka zresztą, jak zaznaczam, nie ma granicy między fizycznością a psychicznością.

To zdanie znowu ma przydźwięk panteistyczny. U szczytu, przy samym kłębku, nic nam się nadwątlila, tu natomiast, przez świadomość ludzką, snuje się zupełnie krzepko. Dualizm, jeśli kiedykolwiek nam groził, uleciał doszczętnie.

Warto zaznaczyć, i to z akcentem, że u Asnyka, nie tylko w sonetach, ale wogóle w żadnym punkcie twórczości nie istnieje teoretyczny rozłam na ducha i ciało ¹⁾. Ów wyodrębniany u wiązań kosmosu Duch Świata był niezupełnie dla nas klarowny i widzieliśmy, że się identyfikował z falą obiegającą słońca. W nas, ludziach, zato, ani na przestrzeniach doświadczenia nigdy Asnyk nie wyodrębnia tych dwu pierwiastków. Jedyne przecięciem jest, niezbiegające się z tamtem, rozdzielenie w tej chwili rozpatrywane na szczególność i ogólność, z których pierwszej, jeśli można określić, odebrana jest bytowa konsystencja ²⁾. Skoro więc panteizm, to zdaje się, jakbyśmy znajdowali się w niedalekiem sąsiedztwie Spinozy, u którego pominęliśmy niejako zagadnienie atrybutów, a zajmuje nas wyłącznie stosunek „modi” do samego bytu, i u którego, tak jak tu, zwycięża spojrzenie pod kątem wieczności, czyli, według terminu asnykowskiego, powszechności. I raz jeszcze: jeśli panteizm, to taki jak u Spinozy: czysto intelektualistyczny, bez śladu mistycznego tchu, bez płomienno-romantycznego — porywu, jak u Bruna.

Na kolosalnym kosmiczno-ewolucyjnym gościńcu stały nam teraz — rozwiązane — wszystkie trapiące duszę Asnyka zagadnienia. Węzłem wiążącym świat ludzki z bytem, a zarazem gwarancją jedyną ziszczania się celów człowieczych jest postęp. Nikt może tak wysoko jeszcze nie pomiescił jego źródła i tem samem nie zabarwił go światłem

²⁾ Jesteśmy w tej chwili przy filozoficznej podwalinie dla poezji i poglądów, omawianych na str. 18 — 24.

¹⁾ Jest tu zbieżność z Arystotelesem, który tak samo prawdziwość i trwanie przyznawał temu, co ogólne, odmawiał zaś rzeczywistości rzeczom szczególnym.

kosmicznem. Oto jest właśnie czysty rytm stworzenia, tak jak się go wyczuwa na ludzkiej pościeli bytu. Co płynie jego nurtem, jest w zgodności z samym motorem światów, czyli niezachwianie cel swój osiąga. Dlatego mówiłam na początku o zrośnięciu się z przyrodą sprawy polskiej, kwestji poezji, ideału, słowem wiary w zwycięstwo wszystkiego, co w sobie roznieci światło tej właśnie samowiedzy.

Pociecha dla człowieka przyszła tedy Asnykowi z człowieka. Póki stał na zamkniętym gruncie ludzkim, nie miał do czego utwierdzić swoich celów. Wisiał w próżni. Z drugiej strony przyroda, bywało, straszyla go bezlitością i ogromem. Ślub obu stron, gdy się dokonał, ukazał całe istnienie — ponad bliznami wszystkich przeboleń — w chłodnem moźe, rozumowem, ale bądźco bądź pogodnem oświecieniu.

I dlatego protestuję przeciw mianowaniu Asnyka pesymistą. Pesymistą, w przeciwstawieniu do niego, był Leopardi, który nie wyczytał w rysach przyrody wspólnego z nami znamienia i pozostał przy mniemaniu, że ona jest gnębicielką ludzkości. W ostatniem swoim poetyckiem zabranii głosu, przed samą śmiercią, przemógł nawet w sobie uprzedzenie do ludzi, aby ich zwołać do przymierza w celu zbiorowej przeciw niej obrony:

Ta zacna jest natura,
Co podnieść się poważa
Śmiertelne oczy przeciw
Pospólnej doli, i co szczerza w mowie,
Prawdzie ujmy nie czyniąc,
Wgłos zło wymienia, które los nam niesie,
I niski stan a kruchy.
Taż wielka, mocna zwie się
Pośród cierpienia, a ni bratnie gniewy
Ani nienawiść, sroższą
Od innych krzywd, dorzuca
Do swych nędz, winą obarczając człeka
Za swoje bóle; — lecz tę winną mieni,
Co iście jest przestępna, co śmiertelnym
Matką — iż rodzi, iż chce źle — macochą.
Nieprzyjaciółką zwie ją i złączone
Przeciw niej rozumiejąc,

— Coć prawdą — oraz spojne już w przedwiecze
Stado człowiecze,
Wszystkich ze sobą sprzymierzonych mniema
Ludzi i wszystkich garnie
W rzetelną miłość, darząc
Krzepką pomocą i ufa w nią dla się
Śród niebezpieczeństw wzajemnych i w trosce
Powszechnej wojny.

(Janowiec).

Jeszcze wytrwalej świadczyła podobnej myśli twórczością swoją Ludwika Ackermann, opiewając zajadłą, nieskończoną walkę między człowiekiem a naturą. Przyroda nie jest dla niej, jak dla włoskiego pesymisty, ślepa i nie przewala po nas bezwiednie okrutnych, traktujących mocy: ona ma cele swoje poza nami i depce po nas jak po niewartym uwagi, przejściowym tworze.

Oto urywek z tragicznej rozmowy natury z człowiekiem:
Przyroda mówi:

Jakto, gdy czas i przestrzeń jest na rozkazanie,
Kiedy tworzywo czeka na palce rzeźbiarki,
Czyż nagle nieśmiertelna pracownica stanie
W szale roboty szparkiej?

W tobie by była dla mnie ostatnia granica?
Mój zapęd miałby przeciąć lichej, ludzki pyłek?
Do takiegożby zmierzał wszech-nędzy dziedzica
Mój tylotrwały wysiłek?

Nie, nie tyś jest mym kresem, nie ty jesteś metą,
Tworząc cię, już wiedziałam, że wydam i — minę.
Z bezdna mrocznej wieczności nie wychodzę przeto,
By taką zrodzić kruszynę.

Widzisz, co się dzieł moich po bezmiarach mrowi,
Widzisz, zem niestrudzona, zem wieczyście świeża,
A sen mój ku obcemu mnie samej celowi
Tysiącznemi drogi zmierza.

Odpowiedź człowieka niesie w sobie pełne godności
zdania:

Wszak i ja syn twój jestem, lecz żyw, nie mgławica.
Gdzieś w przedwieczu mię twoje wydało objęcie,
I nosi moje serce, noszą moje lica
Górnych przeznaczeń pieczęcie.

Przyszłość bez kresu stała przedemną na torze,
Postęp zwał mię pośpiechem do dalekich lotów.
Nie zdążyłabyś nawet dać runąć zaporze,
Już byłbym do skoku gotów.

Zniczem byłbym ci jarkim, skibą byłbym czarną.
Mogłabyś mię rozpalać lub orać do syta,
Jedna jedyna iskra, matko, jedno ziarno,
A wszystko płonie, zakwita!

Czym nie jedyny, który piękność twą odkrywa?
Jam to zliczył twe skarby, twoją moc odgadłem,
Mój to umysł, Naturo harda, wiecznożywa,
Był tobie pierwszym zwierciadłem.

Tylko wzgarda i krzywda to twoja odpłata —
Pod ustawiczną grozą, w walce przesądzonej,
Szamocę się i wiję, zbłąkaniec wśród świata,
Bez ucieczki ni obrony.

Ach, gdybyż z mą wściekłością w równi stała siła,
Poszarpałbym tę twardą, głuchą pierś na nice,
Pod moim dzikim szturmem pewnoby zdradziła
Swą wieczystą tajemnicę.

Darmo! Upadam... „Dążeń!” gdy wieści twa pycha,
Odpowiadam ci: „Cierpień!”, skrwawiony, żebraczy;
A wszystko, cobądź żyje i cobądź oddycha,
Chwyta ten okrzyk rozpaczy.

Przy pełnem ludzkiego dostojeństwa głosie francuskiej buntownicy, przy przeżartych cierpieniem słowach Leopardiego, wiersz Asnyka nabiera szczególnego dźwięku. Mamy w tych trzech duszach trzy bohaterstwa: bohaterstwo męczeństwa u Leopardiego, bohaterstwo prometejskiego wyzwania u Ackermannowej i bohaterstwo przeszczepienia korzeni duszy z niewoli w zwycięstwo u Asnyka. W całej poezji Leopardiego, z wyjątkiem przedśmiertnego hasła, moment woli kompletnie nie istnieje, u Ackermannowej wola idzie naprzekór rozumowi, u Asnyka wola i myśl, serce i rozum

podają sobie zgodne dłonie, aby wyrzeźbić jeden wspólny kształt, potrzebny zarówno umysłowi jak uczuciu.

Ma ta wielka synteza i swój punkt kompromisowy, właśnie w biegu przeżyć nad głębiami. Myśliciel, wychowany na Kancie i na pozytywizmie, okopawszy się tak silnie w początkowych sonetach pod względem poznawczym, stawia o parę stron dalej wspaniałe budynki metafizyczne, a zarazem daje sobie dyspensę na ludzkie interpretowanie świata, aby na polach ogromu posiać wartości drogie swojemu człowieczemu i polskiemu sercu. Ale właśnie przeto, że je w tę a nie w inną rolę posiał, może wyglądać w spokoju dnia duchowego swego żniwa, a twórczość polska chlubi się, że posiadała poezję, w jednej obręczy niosącą djamenty naczelnych praw bytu i najszlachetniejszych wskazań dla swego narodowego i obywatelskiego żywota.

DWUGŁOS ASNYKA
I KONOPNICKIEJ

„...na spotkanie twojej czarnej, piorunowej, dantejskiej chmury prowadzę lekkie, tęczowe i ariostyczne obłoki”.

Jeżeli zejdzie się Konopnickiej z Asnykiem przed obliczem Fatum może nasunąć na pamięć te słowa, to jednak podobieństwo położenia zachodzi zaledwie częściowe. Asnykowska apostrofa Lykofrona nie jest ani czarna, ani dantejska, ani piorunowa, jest tylko pełna dostojności myśli i szerokiego widoku na rdzenne zagadnienia bytu. Przemowa Fatum do Lykofrona, którą odpowiedziała Asnykowi Konopnicka, nie jest ani tęczowa, ani ariostyczna, okazuje się tylko gatunkowo lżejsza, nie tchnie taką majestatyczną powagą, już przez to samo, że Asnyk dał tu jeden więcej warjant swojej całozyciowej pozycji ducha, podczas gdy Konopnicka jedynie przystanęła na chwilę przy podsunętym jej przez lekturę temacie. Spotkanie wypada interesująco, bo w identycznym przedmiocie wypowiadają się dwie biegunowo rozstawione dusze, dwie natury twórcze kładą się w jednobrzmiącą formę, a każda zatrzymuje właściwą sobie barwę głosu i pozostaje wierna swemu pojęciowemu stanowisku.

Zaczawszy od zewnętrznego dźwięku, poprzez różnicę obrazowania, dojdziemy do samej myślowej postawy.

Ton poddał Asnyk. On jest inicjatorem tej przepysznej, arystokratycznej, rzeźbą jedynie stojącej strofy, co tak zachwyciła Krzemińskiego, że po otrzymaniu wiersza pisał autorowi: „Powagą i rytmicznością swoją jakąś grecką, obywatelską się bez rymów, nowy ten utwór tak jest pięknym i oryginalnym, że nie wiem do czegobym go mógł w litera-

turze naszej przyrównać”¹⁾). W rzeczy samej głęboka myśl przepuszczona jest przez kształt o architektonicznej perfekcji. Konopnicka, jak zawsze płynna i muzyczna, przyłożyła się od pierwszego rzutu do wszystkich zaklęśnin i wystąpień tego klasycznego marmuru, do wszystkich skurczeń i rozciągnięć miary, a przecie jej wspaniały wiersz nie czyni wrażenia rzeźby, jest, jak wszystko u niej, życiem i ruchem, jest oddechem, który owiał tamten kształt, czy kaskadą spadającą po jego załamach. Spokój pierzchnął, zatętnił puls, wiersz stał się śmielszy i głośniejszy, a temperatura podniosła zaraz od wstępnych zdań, pokazując, że na „greckim błękitcie gorzało słońce”, i że „płyta kamienna w świątyni była gorąca jeszcze od rylca, którym ją zbruzdził” Lykofron.

Obrazowanie też u niej oryginalniejsze niż u Asnyka. Zostanie nam długo w wyobraźni, lub wprost przed okiem ów ślad piorunowej myśli Lykofrona na kamieniu, owe piersi ludzkości, „które w zwątpieniu zastygły jak piersi trupa”, słabość, jako „nieśmiertelna od krain słońca zaporą i od krainy żywota”, czerwona gwiazda Betleem i „wielki cień krzyża, co padł na Olimp z Golgoty”, pierś bogów, „z której wygrzyzion dzwon życia, życia bijący godziny” i wreszcie samo Fatum, „waga sił życia i życia woli, nad przepaściami chwiejąca ludy i bogi”. A co wzrokowi wyobraźni daje Asnyk? Przedewszystkiem w przestworze światów „orszak tęczy”, co „igrał w powietrznej fali ogniami nieśmiertelności” dopóki „różowy Olimp girlandą gwiazd spadających” w przestrzeń nie rozsypał się ciemną. Zwykła to Asnykowska akwarela z dominującą różowością, złotem i tęczą, tutaj może specjalnie pamięciowe echo jakiegoś mitologicznego fresku, oglądanego we Włoszech, może *Aurory* Guida Reniego, zbledzonej do kolorytu Fra Angelica. Bo on to jest najbliższym odpowiednikiem barwnym naszego poety, jeżeli idzie o kraj-obraz pogody, raz tylko chyba jedyny przeciągniętym soczystością we *Fresku pompejańskim*. Oba zresztą dane nam

¹⁾ Patrz list Krzemińskiego do Asnyka na końcu książki.

w wierszu widzenia Olimpu: w złotej jutrzni i w różanym końcowym rozprysku, są bardzo piękne, zwłaszcza że podcieniowuje je kontrast ze spadającą „ze szczytu nieskończoności maską nieubłaganą” Fatum. I jej prawdopodobnie jako pierwowzór wzrokowy posłużyła jedna z licznych masek starożytnych po muzeach italskich, jak obraz Saturna stanął niewątpliwie przed oczyma poety przy pierwszych słowach Lykofrona²⁾:

O Fatum, pożerające ludzi i bogów,
Grzebiące w ciemnej otchłani długie pokoleń szeregi,
Głuche na wszelkie wołania
I bez litości!

Nietylko obrazowanie obfitsze, ale i sam zasięg treści mamy swobodniejszy u Konopnickiej niż u Asnyka. U niego jest niezachwiany ordynek na jednej i wyłącznej linii czasowej, wyciągniętej od głębokiej przeszłości w daleką przeczowaną przyszłość, u niej zobaczymy trochę bezładu historycznego, parę wyjść na boki (Olimp-Golgota), wreszcie raptowne przerzucenie tonacji dla jednego jedyne go końcowego wiersza o Grecji-Polsce.

A teraz sam trzon — temat. Lykofron, który w czasach sofistów, gdy konało piękno, skrycie jeszcze czcił Muzy, na marmurowej tablicy w opustoszałej świątyni wyrył u Asnyka

2) Nastąpiła nowa epoka, z obliczem
Nieubłaganem, lodowatym, chmurnem;
Jej bóg jest owym, niezwruszonym niczem,
Pożerającym swe dzieci Saturnem.
(W 25 rocznicę powstania 1863 roku)

albo:

W imię tej trójcy, (boga ślepej woli, boga chaosu i boga atomu),
w imię tej nicości,

Która jak Saturn pożera swe plemię,
Idźcie rozdierać matczyne wnętrzości,
Pługiem zniszczenia idźcie zorać ziemię i t. d.
(Śród przełomu).

We wszystkich trzech cytatach mowa o tej samej fazie dziejów i ducha,
i jednakowe porównanie dla niej nasuwa się poecie.

głębokomyślne wyrazy. Oskarżył Fatum, że straciło niebian, którzy aczkolwiek ułomni, a żądni chwały, dawali jednak piękno światu a rodowi ludzkiemu złudzenie opieki. Ono tymczasem, niewzruszone i głuche, zmienia nas w zatracen-
ców, w niewolników zagadki. Tu, nagle, wyrzut przechodzi w groźbę, bierność w czyn: człowiek kiedyś własnoręcznie zszarpie maskę Fatum z błękitów, a wtedy okaże się, że prawdziwym władcą światów jest jasny Bóg miłości. To nieme Fatum, wyzwane słowami Asnyka, u Konopnickiej zabiera głos, i w chwili dziwnej łaski odsłania mędrcomu całą tajemnicę bogów i własną, tajemnicę która jest obaleniem wszystkich pozaludzkich posągów potęgi. Nasza słabość jest ich matką, siła człowieka przekreśli ich istnienie. Usłyszawszy to, „upadł na twarz Lykofron i Grecji płakał”.

U Asnyka, jak napomknęłam, mamy do czynienia z motywem stałym, centralnym dla jego myśli i uczucia. Rozkłada się przed nami jego typowa trychotomia, trójdział historii: okres władztwa poezji i ideałów czy wiary, zarazem okres szczęścia ludzkości, era rozumu, zimna i bezlitosna dla cierpiących, oraz wypracowany myślą i tęsknotą poety wiek przyszły, synteza, kiedy wiedza i jej zdobycze nie będą już zabójstwem dla potrzeb serca, a stracony ideał odżyje, wyższy i szlachetniejszy przez rozrost na kapitale naukowym.

Etapy drogi Asnyka są znane. Punktem wyjściowym dramatu była klęska powstańcza i skręt prądu myślowego w Polsce. Pokolenie pozytywistyczne zraniło go przez niezrozumienie poezji i ujemny stosunek do niedawnej akcji orężnej. Ból poety początkowo szarpie się w tonach jeszcze romantycznych; potem okłamuje się ironizowaniem à la Heine, rzuca się w próby wielorakich pociech: światowej, po niej religijnej, — zawsze bez skutku, wreszcie zapada w dojmującą cichość, wywołaną przez charakterystyczny wstyd uzewnętrzniania się, który zostanie Asnykowi do końca¹⁾.

¹⁾ Jasno powiadają o tem słowa z *Upomnienia*, będące nieomylnie wymową własnego serca, aczkolwiek zwrócone są jako rada do narodu:

Na razie na tę cichość zwała się kamieniem odrętwienie, martwota ducha, i to jest okres najtragiczniejszy, tak straszny, że poeta tęskni nawet do przebytych cierpień, uważając je za mniejsze zło od apatii. Zczasem dopiero trafia na nią Arjadny, przesnutą przez przyrodę tatrzańską i przez teorię ewolucjonizmu, i powoli, powoli, dzierząc ową nić zbawczą ruchem, jakimby jej się uchwycił tonący, wyciąga się ze swego grobu duszy. Znamieniem okresu syntezy jest dostrzeżenie w obrocie: romantyzm-pozytywizm jednego ze stałych i nieodzownych motywów rozwoju, co właśnie pozwoliło z pozytywizmu zdjąć narzucone mu pierwotnie w bólu piętno epoki ostatecznego zaparcia się ideałów, a przyszły zwrot ku zmartwychwstaniu poezji uczyniło pewnikiem filozoficznym i naukowym.

Konopnicka nie wyszła, jak Asnyk, z bólu, z tragedji osobistej czy narodowej, ale wyszła ze spółczucia dla cierpienia ludzi i bezmocy wobec niego wielkiej. Posuwanie się jej, mniej nam w swoich szczegółach znane, bo mniej przez stacje logiczne idące, ukazuje ją jednak w dalszych

Prawdziwa miłość w głębi tajemniczej
Ukrywa przedmiot czci swej i kochania,
I wielka boleść ma swój wstyd dziewiczy,
Który ją całą milczeniem osłania,
Ona nie żebrze o litość dla siebie,
Ani na ludzkie pociechy nie liczy.

Tak samo *Huczy woda po kamieniach w Motywach ludowych* i t. d.

Asnyk, z wyjątkiem paru najwcześniejszych ruchów pióra, nigdy nie pisze w chwili cierpienia i pod jego bezpośrednim naporem. Różni się tem biegunowo od Kasprowicza, którego poematy są wylewem gotującej się w najpotężniejszym uczuciu krwi. Kasprowicz, cierpiąc, obnaża swoją tytańską pięć przed niebem i przed człowiekiem. Tego olbrzyma-indywidualisty nie palą oczy wpatrujące się i wdzierające w rozdartą męką ranę. *Hymny* to wulkan w samej chwili wybuchu. Asnyk, teoretyczny wróg indywidualizmu, gdy cierpi, odgradzony jest od ludzi głuchem jak chmurne niebo milczeniem. Przed wstydlivość i dumę... Do głosu dochodzi ból jego dopiero, gdy na tyle zacichł, że może podejść pod rytm, krew wtedy zaledwie wynika z rany, kiedy zakrzepła, skrzystalizowała się w chłodny napozór, szklisty rubin, który za to nabrał przezroczystości i zdolny jest przez siebie przepuścić promień: ideę.

latach przejętą pogardą dla słabości, a samą tak pełną siły, jak początkowo była pełna łzawej niezaradności. Dokonało się więc w jakimś niedostrzegalnym dla nas punkcie ostre przestawienie, uzależnione najpewniej od czyjegós teozoficznego dotknięcia się jej duszy, a które wstęp swój miało w głębokiem przeżyciu morza, jak Asnyk przeżył Tatry. Tylko gdy jemu noc pod Wysoką nierozzerwalnie związała ducha ludzkiego z ogromem wszeświata, ją odrazu morze odprowadziło na jakieś zaziemskie wyraje, na brzegi gdzieś boże („jestem tu jeszcze, ale już przechodzę”). Poza prawdą palingenetyczną, poza odnawianiem się pracy dusz, cały wszeświat, przyroda traci miąższ i rdzeń, dzieje pierwiastka psychicznego w człowieku są jedyną prawdą istnienia.

Zobaczmy teraz obie te filozofje w dwugłosie Lykofrona i Fatum.

Sam rzuca się w oczy główny pion: u Asnyka ma głos klarowny intelektualizm, u Konopnickiej cięcie żłobi przepaść między siłą a słabością, czyli inaczej: akcja stoi pod znakiem woluntaryzmu, a jedyną zasadą jest skrajna motoryczność. Cała osobista psychika poetki wchodzi bez reszty w jeden zakres: w moc, z drugą stroną nie łączy jej nic a nic, przeciwnie, cały wiersz z nią bojuje i w zestawieniu z mową czystych przemyśleń i zaznaczoną powściągliwością Asnykowską, brzmi trochę jak ideowa polemika, czy bardzo wzniosłe trybuństwo. U Asnyka takiego jednolitego stanowiska niema. Lykofron obwinia Fatum, rząd surowego rozumu, on, którego język poetycki jest, jak powiedziałam w tej chwili, językiem intelektu. Władztwo rozumu odczuwa on jako władztwo tyranji, pozytywizm jest dla niego — negacją, negacją właśnie pozytywnych a drogich mu wartości ducha. Mocno podkreślony jest moment agnostycyzmu:

· Nie wiemy, jakim sposobem dzierżysz swą władzę nad nami,
· Nie wiedząc, czyli dłoń twoja
· Świat wydobyła
· Z bezwładnej chaosu nocy, co bez początku.

Wszelako osobisty stosunek doń Asnyka-Lykofrona nie jest stosunkiem nienawiści. „Czy cię czić, czy też przeklinać—nie wiemy”. Bo i to, czemu cios śmiertelny zadało Fatum, choć złości się jeszcze, naprzekór czasom, w duszy poety, także nie było wartością bez zmayı. Surowe słowa wychodzą z pod ryłka Lykofrona przeciw Olimpijczykom:

Ułomne to były bogi! żądź ludzkich pełne,
Dyszące gniewem, zawiścią, rozkoszujące się jękiem
Skazanych na wieczność całą
W czarnym Hadesie.
Ułomne to były bogi! chciwe swej chwały,
Cień tylko władzy znikomy posiadające w swej dłoni
I nic nie zdolne odmienić
W przeznaczeń biegu,
Wytkniętym poza ich wiedzą przez kolej wieków.

W zestawieniu tych dwu wypowiedzi zamyka się treść wewnętrzna a zarazem i cały dramat Asnyka. Jego natura uczestniczyła i w jednej i drugiej prawdzie, dwoma korzeniami czerpała pokarmy swoje duchowe: z romantyzmu, czy z przeszłości poezję, uczucie, które poważniejszą znacznie warstwą, niż to krytyka zwykła oceniać, zalegało jego duszę, i z pozytywizmu, bo jego osobiście nie przerażała narzucona ludzkości przez Fatum „wieczna zagadka istnienia”¹⁾. A jak dzieli się między dwa prądy jego sympatja, tak i na oba rzuca poeta ujemne sądy. Rzecz to jednak zbyt powszechnie znana, aby ją tu poddawać dokładniejszemu rozpatrzeniu,

¹⁾ Zagadnienie stosunku do pozytywizmu, czy do Fatum, jak możemy określić, aby pozostać w kategoriach omawianego utworu, wykazuje u Asnyka wyraźne odgałęzienie społeczne. Ponieważ nie wchodzi ono w ramy obecnego tematu, potrącam je ledwie ubocznie. Stosunek ów mianowicie posiada dwa oblicza. Pierwsze jest dla przeciętnej, spragnionej szczęścia a zbierającej cierpienia ludzkości. Ją to — nie siebie — ma na myśli Lykofron, gdy, przyznawszy, iż bóstwa były samolubne i słabe, wzdycha że jednak „dobrze spoczywać było w cieniu ich łaski”. Dla tej przeciętnej a słabej ludzkości Asnyk znajduje zawsze spólcziem nabrzmiałą skargę: *Tym którzy smutni, Zbolałym sercom potrzeba, XIX wiekowi* i t. d. Więcej nawet: uderza w słowa niemal nagany, gdy tacy ludzie „świat ten ze złudzeń rozbiorą do naga”. (*Czego ci trzeba dziś, posępny tłumie*). Druga, szczuplejsza, przodująca grupa

chę jedynie zapisać, że rozważany teraz przez nas utwór ma podstawowy udział i w tem zagadnieniu. Nie będąc więc, co się tu wyraźnie uwypukla, ani romantykiem, ani pozytywistą, całkowitą swoją wiarę składa Asnyk u progu przewidzianej ery trzeciej.

Gdy na nie wszystkie trzy w ramach naszego fragmentu spojrzemy, wypłynie pewien szczegół. Pokazano nam ich kolejne końce i początki, ale od czego one zależą, co i kiedy każe im wzajemnie następować po sobie? Na to pytanie wiersz o Lykofronie nie daje jasnej odpowiedzi. Poruszając atoli temat, tylekroć powracający w najrozmaitszych warjantach, nie jest on odosobniony. Sprobujmy wciągnąć go w ogólną oprawę, a niedopowiedziane dopełni się na innych kartach poety.

Wiersz o Lykofronie mianowicie tai nam to, co u Kopnickiej jest wszystkim: motor dziejów. Dlaczego Fatum przygotowało w milczeniu upadek bogów i patrzyło spokojnie jak giną? Dlaczego oni dali się rozgromić? A dalej,

umie dosłyszeć, przynajmniej w godzinach wielkiego pragnienia, śpiew anielskich chórów, niedostępny dla zimnej albo zmęczonej codziennym trudem gromady. Lecz choćby nawet pieśni aniołów nie chwyтали, lub sami z siebie wysnuć jej nie mogli, przodownicy rodu ludzkiego nie wiedzą, co to strach wobec nagiej prawdy bytu. Zaznaczone rozdwojenie występuje najwyraźniej w wierszu przypisanym tym właśnie *Przodownikom*. „kochankom lzys zasłoniętej“:

Wy możecie zstępować bez trwogi,
Gdzie noc, groza i zwątpienie mieszka,
I piekielne nie zwiódą was bogi,
Bo do światła wiedzie wasza ścieżka.

Lecz gdy macie wieść za sobą tłumy, których myśli biegły dotąd nisko, nie wskazujcie tej bezdennej próżni, pod którą stopa się zawiesza, tylko — i tu podchodzimy z przeciwnej strony do tej samej myśli, co w sonecie *Czego ci trzeba dziś*:

jak dobrzy czynią przewodnicy,
Grunt im twardy ukażcie pod nogą,
I oparcie dla trwożnej żrenicy,
Aby w drodze nie zgubić nikogo.

Oba zresztą stanowiska, jak wiemy, Asnyk sam kolejno przemierzył sercem.

dlaczego człowiek, skoro mu będzie wolno kiedyś zatryumfować nad Fatum, nie zrywa się do walki dziś, dlaczego znosi niewolę?

Fragment wyszedł z pod pióra swego twórcy albo na samym schyłku roku 1878, albo w 1879, zaraz na początku. 21 stycznia 1879 otrzymał go z Krakowa Stanisław Krzeмиński „w bratnim upominku” i w tym samym roku wydrukował w Bluszczu. W latach 78 i 79 wydzwignął się już był Asnyk z głównego kryzysu, poza nim zostało jawne krwawienie się w buncie i maskowane w ironji, próby religijne i zawiedzenie się na nich, a nawet zmora okresu martwoty, przeżył już był noc „łaski zrozumienia” pod Wysoką i wszedł w okres umacniania szczytowych wiązań, które miały zakończyć dzieło jego ducha w rodzących się zwolna przez lata 1882 — 1888 sonetach *Nad Głębiami*. O wyjściu na światło własne świadczy w Lykofronie ostatnia strofa, trochę nagłym ruchem dostawiona do poprzednich i zdumiewająca siłą nieprzeczuwanego okrzyku: „kłamliwa maro nicestwa, o ślepe Fatum!” a rozjaśniona zjawą

jasnego Boga.

Który z miłością

Wciąż wyżej po szczeblach przemian prowadzi światy.

Jest nawet wspomnienie, też bardzo wymowne, o ile idzie o domysłany już do syntezy pogląd Asnyka: że człowiek strąci gwałtem Fatum z zenitu nieskończoności¹⁾.

Gdyby w czasie pisania *Lykofrona* filozofja własna Asnyka nie była jeszcze ugruntowana, mielibyśmy tylko dualizm: Olimp-Fatum, nie byłby dosunięty epilog z zapowiedzią epoki trzeciej. Rozglądając się po całym dziele poety, dostrzegamy nasz zasadniczy motyw, przepleciony przez szereg utworów dwu- i trzyczłonowych. Wymienię szybko zpośród pierwszych: dialog publiczności z poetami, *Zmierzch melodji*, *Samotne widmo*, *Do młodych*, *Juljana Apostatę*, (z pewną modyfikacją pierwiastków), *Orfeusza i Bachantki*²⁾, *Tantala* i t. d.,

1) Patrz poprzednie studjum str. 42 — 44.

2) Pozornie *Orfeusz i Bachantki* mają inną konfigurację. Syntezą, do-

z drugiej: *Ociemniałego Thamyrisa, Przeminał czas, Jestże to prawdą?* i wielki kosmiczny malunek *Nad głębiami*. Dla uwy-
puklenia myśli, o którą mi idzie, niechaj posłuży np. *Zmierzch
melodji*, gdzie, mimo braku końcowego dostawienia, podo-
bieństwo z *Lykofronem* jest uderzające. I tu „na gruzach wia-
ry dziecięcej” bezustannie ściga człowieka myśl

poco
Z nieznaną ściera się mocą,
Z potęgą, co wiecznie trwa,
I czemu serce ogarnia
Nieskończoności męczarnia,
Pod którą drga?

Tylko, że tu Asnyk powiedział o jeden wyraz więcej,
wskazał niezrozumiały powód zwycięstwa Fatum nad Olim-
pem. Duchowi ludzkiemu nie dość dziś róż zwiędłych i nie-
zabudek,

Prawda dlań dzisiaj najświętsza,
Więc chce przeniknąć do wnętrza
Istnienia treść.

kładniej; ogarnięciem i zrozumieniem prawdy jest tu Djonizos-intellekt, rolę
antytezy wobec Orfeusza, poezji i ideału, odgrywają Bachantki, żywioł na-
miętny, stanowiący zupełny biegun w zestawieniu z głuchem, nieugiętem
Fatum. Różnica jest jednak pozorna, Bachantki wyrażają dla Asnyka tak samo
teoretyczne zaprzeczenie idealizmu, jeszcze ściślej: materializm, nawet nau-
kowy. Przypomnijmy sobie *Złotego cielca* z opisem bachantki, jako centrum
zmaterializowanego świata, a przede wszystkim przypomnijmy obraz z *Śród
przełomu*, gdzie poeta tak uymbolizował filozofję materialistyczną XIX wieku:

Na przedzie biegnie, nagiem świecąc ciałem,
Nawpół bogini, nawpół zalotnica,
B a c h a n t k a - w i e d z a, dzikim tchnąca szałem...
W bezwstydnym uśmiech przystroiwszy lica,
Tłumów namiętne pragnienia podsyca,
I wiodąc naprzód zbuntowane zgraje,
Nowe swym uczniom przykazania daje:
„Precz z marzeniami dziecinnego wieku,
Co ponad ziemskie wzlatują wybrzeża!
Precz z urojonem anielstwem w człowieka!“ i t. d.

Te dwa oblicza pozytywizmu i materializmu, jedno twarde, nieporu-
szone, drugie drapieżne, zmysłowe, doskonale zlewają się w jedno w myśli poety.

On o tę prawdę zaczął wieść walkę z niebem, on przywołał Fatum, które jest zatem jego tworem, — słusznie to przychwyciła Konopnicka — ale nie tworem jego słabości, lecz jego wejścia w nowy znak. Oto jest sprawca skonu bogów — duch ludzki.

Spotkanie ducha z Fatum rysuje nam z największą plastyką inny wiersz: *Nad przepaścią*, który możemy poprostu uważać za drugą półkulę w stosunku do *Lykofrona*, — dopełnia go. *Lykofron* daje zewnętrzny widnokrąg, gdy tymczasem *Nad przepaścią* zachodzi do zagadnienia od strony psychologicznej. Tym razem, jak u Konopnickiej, „kłamliwa mara nicestwa” przemawia do człowieka, więcej jeszcze, wyzywa go, sama nie wyzwana, i straszy, że zabrnął na bezdroża, z których wyjścia mu nie będzie:

Tem światłem (rozumu) mar uroczych roje
Spłoszyłeś w swojej drodze...
Uniosły z sobą szczęście twoje,
A zato ja przychodzę.

Na miejsce jasnej ich gromady,
Co pierzchła już skrzydłata,
Przybywam jako cień zagłady
I wiecznej nędzy świata.

Ale tutaj Fatum dostaje natychmiast odpowiedź, mocniejszą, pewniejszą niż zmatowany zadumą głos *Lykofrona*, odpowiedź, która odebrałaby główny argument słowom Fatum u Konopnickiej:

Marny cieniu,
Coś postać wziął olbrzyma,
Idę ku swemu przeznaczeniu
I nic mnie nie zatrzyma.
.
Spędziłem wszystkie mary piękne,
By prościej iść do celu:
I ciebie teraz się nie zlekne,
Posepny kusicielu!

I ty ustąpić musisz z drogi,
Zwodnicza twa potęga!
Ponad nicestwa ciemne progi
Duch ludzki wyżej sięga!

Nie wiem, kiedy pisany jest ten wiersz; przez moc tonu na zdobytem stanowisku ewolucjonistycznym, przez zwycięską pewność wygląda na późniejszy od *Lykofrona*. Chciałabym podeprzeć wrażenie zapomocą pewnej interpretacji. Napomknęłam, że triada Asnykowska, wyszedłszy z jednostkowego doświadczenia: przełamania się ducha na krawędzi wypadków r. 63-go, rozrosła się w ogólny schemat filozofji dziejów. Są wiersze trzymające się tej myśli w pierwszym lub w drugim stadium. Do jednych zaliczamy m. in. *Publiczność do poetów* razem z odpowiedzią, *Napad na Parnas*, *Na zgon poezji*, poniekąd (bo się rozszerza) *Przeminął czas* i t. d., i t. d. Do drugich *Orfeusza i Bachantki*, *W obiegu*, *Bóstwo tajemnicze*, *Nad głębiami* i wiele innych. *Lykofron*, jako twórcze poruszenie uczucia, urodził się w pierwszej grupie. Skąd to widać? Najpierw stąd, że sukienka grecka jest tylko wyraźnem przebraniem ducha polskiego, epoka sofistów, to tak jak w *Napadzie na Parnas*, pozytywizm. *Lykofron*, czczący jeszcze skrycie Muzy, to jakiś zapóźniony dawnych czasów widz, może sam poeta, bo i on zawisł duchem nad obydwiema epokami, z jedną zrosły sercem, z drugą zrozumieniem, a świadomy cieniów jednej i drugiej. Opis runięcia Olimpu i mrożącej od tego dnia pustki to tylekroć wracający u Asnyka obraz ruiny ideałów po powstaniu. Stan ducha greków przywodzi nam na myśl spowiedź rozbitka polskiego po roku 63-im, kiedy nie wie, w co ma wierzyć, jak przeżyć swój dzień, sam w ciemności, przyzywanie anioła, daremne, jak się okazuje, skoro świat stanął w ręku *Fatum*. A żal *Lykofrona*, dwukrotnie wyrażony, nawet po *Hadesie*? I on ma swoje uzasadnienie w poetyckich i życiowych dziejach Asnyka. Mówiłam, że jako najstraszliwszy odczuł poeta okres nie ostrego bólu, ale duchowej drętwoty. To właśnie *Fatum*, „które nikogo nie karze i nie nagradza, lecz wszystkim wyznacza miarę koniecznej męki”, nielitościwe „sam na sam”, przejmująco przedstawione w wierszu pod tym nagłówkiem. Stan duszy Asnyka jest tak dalece nie do przeniesienia, że nawet zaczyna go nęcić wspomnienie początkowych mąk, które

zdaleka zatraciły już cierni. To mówi jeden ustęp *W cichej przystani*¹⁾, to jeszcze o wiele dobitniej *Tantal*:

A oto w takim odrętwieniu głuchem,
W którym mnie żadna boleść nie dosięga,
Wraz z żądź straconych burzą i rozruchem,
Cała się moja rozpierzchnęła potęgą:
I dziś minionych męczarni żałuję,
Gdyż się nędzniejszym niżli przedtem czuję.

Wróćcie mi zatem, nieśmiertelne bogi,
Grozę mych piekieł i straszliwe kary;
Wróćcie mi widok Erynnij złowrogi
I niezgaszone pragnienia pożary!
Niech się rwie Tytan ze swego łańcucha,
Niech się pragnie, cierpi — lecz niechaj wybucha!

Że jednak Asnyk, zaczynając w *Lykofronie* u widoku dni swoich, wyszedł poza krąg pierwotny, świadczą dwie myśli, czysto filozoficzne, dotyczące rozwoju ducha ludzkiego na torze dziejów.

Pierwotnie przed twoim²⁾ tronem stał ród kwitnący
Promiennych blaskami niebian, którzy z twojego ramienia
W przystępnej ludzom postaci
Rząd sprawowali.

To wprost słowami Vica czy Comte'a zobrazowana epoka mitologiczna dziecięcej ludzkości, epoka wyobraźni, innym narzędziem ducha objęty ten sam przedmiot, który następnie pójdzie pod uprawę myśli metafizycznej, uosobionej w Fatum, przyczem wyraźnie Asnyk zawarowuje tożsamość obu, z momentem wstrząsu u przejścia z pod jednej władzy pod następną. A druga myśl, tak samo o ogólnoludz-

¹⁾ Dziś mogę patrzeć, wolna od goryczy.
Na te pałace przeszłości widziadła.
Ból już na grozie stracił tajemniczej
I wymarzona szczęśliwość poblądła.
I wszystkie straty, najcięższe w wspomnieniu
Spływają w jeden obraz tajemniczy.
Zstępując do mnie w cudnem oświeceniu.

²⁾ Fatum.

kiej doniosłości, to znane nam już zamknięcie poematu wizją drabiny rozwojowej i wznoszenia się po niej przez szlachetnienie i miłość. I tu poemat nasz ma punkt zetknięcia z przychodzącą z innych okolic, lecz po tych samych „szczelbach stopniowych przemian podnoszącą się na idealnej zozry” *Odq.*

Jeżeli tedy *Lykofron*, ze specjalnego punktu wyruszając, ogarnął aż tak wielkie obwody, to *Nad przepaścią* rozgrywa się odrazu w wielowiekowej perspektywie dziejów.

Widmo mówi:

Szalone pycha ciebie zwiodła,
Myślałeś, że bez końca
Będziesz nieść w górę ludzkie godła,
Do prawdy zdążać słońca.

Z odpowiedzi człowieka bije, że ma on już za sobą szereg upadków, walk i zwycięstw, że zna i pojmuje prawo swojej historii:

Niejedne widma przychodziły,
By wieść mnie na bezdroże,
Niejeden sen mnie wabił miły
Na kwiatów miękkie łoża.

Spędziłem wszystkie mary piękne,
By prędzej iść do celu
I c i e b i e teraz się nie zleknę.

.
I t y ustąpić musisz z drogi..

I ty. — Czy fatum, czy pozytywizm, czy inna wroga siła, przygotowaliśmy na starcie; przejdziemy, miniemy, osiągniemy radośnie metę naszą po szczelbach słońca¹⁾.

¹⁾ Jak więc duch ludzki swojego czasu wyrwał się naiwnej wierze w bogów i zamiast wyobraźni i przypadkowi poddał świat władzy konieczności i rozumu, tak w pewnej chwili wyrośnie i z tej fazy, zrzucając brzemie, którem się sam przytłoczył. Duch tedy jest twórczy i czynny u Asnyka; związany wszelako jednym prawem z istniejącą poza nim zewnętrżnością.

A teraz wzywa nas zostawiona zbyt długo na stronie Konopnicka.

Coś bije na nas z głębokiego tchu jej zdań, jakiś pałąc wiatr od mórz i ziem południa zdaje się przy powitaniu uderzać nam o skronie. Niesie niby bodziec, nakaz, zew. A ciekawe przez kogo rzucony? — Przez Fatum! Ten ciemiezca ducha u Asnyka przemienił się u Konopnickiej w rewelatora, który człowiekowi wsuwa broń w fęce. Jest to natychmiastowe, nieomyślne zarysowanie się różnicy między poetami. Milczenie pękło, niezbadane dna wydzwignęły na wierzch tajemnicę swoją (przed jednym wprowadzie tylko Lykofronem, zapewnia Fatum), a pierwszym głosem, który padł, jest — hołd dla buntu!

Dajcie mi jeszcze tych dawnych, starych Tytanów,
Co głązy w niebo ciskali i z pięścią szli przeciw bogom,
By wydrzeć z rąk Zeusowych
Ogień żywota.
Dajcie ich jeszcze! Niech walka krwawa a głucha
Wre po dawnemu na ciosy między Olimpem a człkiem
I niechaj żar nieśmiertelny
Rozpali piersi,
Które w zwątpieniu zastygły jak piersi trupa.

Groza i majestat ponad-boskiej Mojry zmienia się na majestat głosu w krzaku gorejącym. Dlaczego jednak, pytamy, Fatum gniewa się na zastygnięcie w beczynie? Czy z pogardy dla Zeusa? U Asnyka ono spowodowało upadek Olimpu, tu nie ¹⁾. Zeus u Konopnickiej upadł, jak za chwilę

czynów swoich i zmian drogi dokonać może wtedy jedynie, gdy rozwojowo do nich dorośnie.

¹⁾ Muszę przyznać, że nie potrafię ze stanowiska ideowego Konopnickiej wylegitymować mocnego jej protestu przeciwko słowom Fatum u Asnyka, że „rózowy Olimp girlandą gwiazd spadających w przestrzeń rozsypał się ciemną“, lecz że natomiast „śród gromów i trzasków runął w zwaliska“. Przejście gwałtowne między epokami jest raczej paragrafem wiary historyzoficznej Asnyka, który tutaj, faktycznie, nie ukazał ostrego przełomu, dał go zato, jak zaznaczyłam, w przejściu od ery Fatum do następnej. Mistyka Konopnickiej, przeciwnie, w podkreślanej stale ciągłości biegu świata zupełnie nie wspomina o kataklizmach. Jeżeli jest u niej pewna nuta okrucieństwa.

zobaczymy, sam przez się, bo był bezsilny. Ono, Fatum, gardzić by nim zato mogło i nienawidzić, gdyby samo było siłą. Ale i ono powie niebawem, że siłą nie jest i siłą chce uczynić człowieka. Zatem? — Pierwszy to logiczny niedobór pięknego fragmentu. Za nim zaraz idzie drugi:

Czemże są bowiem bogowie, jeśli nie kłamstwem
Dla niewolników, co karki swe nędzne w jarzmo schylają
I małoduszne łzy leją
Zdała od czynu.

Niema ich! Złuda, kłamliwa mara nicestwa, widmo może, jak u Asnyka *Nad przepaścią*, nie przychodzące wszakże samo z siebie. zpoza nas, nie zastępujące zazdrośnie drogi męznego ducha, lecz wywołane strachem, przyzwane przez słabość jako podpora. Tylko, skoro ich niema, jakże może być prawdą, że

Bogowie nawet upadli, iż zbrakło siły,
Która nad nektar ambrozji piersi do życia ukrzepia
I nieśmiertelność rozdziela
I im i ludom.

Jakże mógł Zeusowi krzywdę wyrządzić cień, padający nań z Golgoty, jak mogli niegdyś walczyć z nim Tytani, gdy on jest tylko nicością?

to przeważnie początkowo, jeszcze w *Mojej Biblii*, właśnie przetrzymywanie zbyt długie stanu cierpienia przed dopełnieniem sprawiedliwości, brak doraznej kary. Więc też, jak czytamy zaraz w tej samej strofie, która mówi o końcu Olimpu, właściwie nie szło o wymiar sprawiedliwości wobec samego Zeusa, ale raczej o to: „by człowiek, patrząc z przestraczem w pustą pierś wiecznych, z której wygrzcion dzwon życia, życia bijący godziny, o losy swoje śród drżenia nie bogów pytał, lecz pytał serca własnego i własnej piersi”. Zdanie to jest znowu nieomylnem świadectwem antropocentryzmu myślowego poetki. Gwoli człowiekowi, w celach, powiedzmy, pedagogicznych, aby plastycznie i poglądowo dać mu wyczuć prawdę, strąca się aż bóstwa z tronu. Któż jest tym wychowawcą? Fatum??? Ale dlaczego w takim razie, strzaskawszy Olimp, siebie postawiło jako wagę nad ludźmi, wagę straszliwą, tak gdzieś głęboko w trzewia s. mego bytu zarytą, że nicości jej wobec woli człowieka nie domyślają się ani słońce-rodzic, ani gwiazdy? (Strofs: „Ja, co, z ukrytem obliczem nad ziemią władam“).

Oto męt myślowy. A nie wyczerpaliliśmy go jeszcze. U Asnyka Fatum przeciwstawione jest ostro Olimpowi jako drugi człon trychłotomji,—antyteza tezie. Wszystko w tych dwu światach jest odmienne: bogowie są różani, w klasycznym, wieczyście młodym obrysie, ono jest olbrzymim bezkształtnym cieniem (w pewnej chwili nieubłaganą maską), oni żyją pełni ludzkich żądz, ono trwa surowe, nieporuszone. Takie dwie władze świata naprawdę nie mogą mieć jednoczesnych tronów, musi ustawić je po sobie dziejowe następstwo. U Konopnickiej niema między niemi różnicy. I Zeusa i Fatum poetka namalowała niejako bez twarzy. Także stosunek człowieka do jednej i drugiej strony polega na tem samym: na tchórzliwem zwalaniu na obie niemocy swojej i niezdolności do samoobrony. Dokładnie mówiąc, Konopnicka nie umiała odróżnić pojęć bardzo sobie dalekich, nietylko w poemacie Asnyka, ale dla nas wszystkich: bogów, twórców fantazji, i rozumowej interpretacji bytu. Triada została jej narzucona przez Asnyka, więc za nią poszła, ale jej natura była raczej skłonna do dualizmu, że jeśli można ryzykownie określić, dwukolnią przeorała całą rolę ducha swojego. Pomijam w tej chwili jej zasadniczą od najwcześniejszych wystąpień dwoistość światła i nocy, krzywdzących i krzywdzonych, ale nawet na tle osiągniętej już mistycznej syntezy dobro i prawda ma dla niej stale dwoiste oblicze: orle i skowronkowe, zwycięskie i pełne pokory. Cisza mówi do niej jako huk oceanowy i jako poszept trawy polnej, duch jest mniejszy niż mały i większy niżli wielki, jedno lata „Pan z swej dłoni jak białe kwiecie w pogodny czas roni”, inne „od siebie puszcza jak orły szumiące po niebie”, a jedno i drugie są lata wielkie dla człowieka, pieśniarz ma dać „pieśni płynąc jak płynie źródł błękitną ciszą w zorze, a zaś pęd jej dać, puścić w huk i bój wód grzmiących, co rwą w morze”. Przykładów takich mogłabym uszeregować setki¹⁾.

¹⁾ Dwudzielność stanowi podstawową budowę niezliczonych jej utworów, dwie lub więcej strof, stojących parzysto w służbie przeciwnych uczuć lub stanowisk. Znowu nie wychodząc poza ramy cyklów mistycznych, wspomnę na chybi trafi kilka tytułów: *Jako huk oceanowy*, *Powiem ci, Słabością*

Jej wiersz o Lykofronie ma odrazu swoją podstawową dwoistość: siłę i słabość. Dalsze rozszczepienie jednej ze stron na dwie różne kategorie nie dało się już przeprowadzić w oderwanym myśleniu Konopnickiej. Odpowiedź Fatum mogłaby być równie dobrze odpowiedzią Zeusa, daną Lykofronowi.

A teraz jakie prawdy o człowieku głosi ten niezwykły nauczyciel?

Sam sobie życia nić przędzie każdy z żyjących,
Sam w sobie losy swe nosi, ktokolwiek rodzi się na świat.

W rzeczy samej czy nie najbezwzględniejsza to jaka może być negacja Fatum, padająca z własnych jego warg?... Ale wyrok ten nie dziwi nas u Konopnickiej. Czytamy w jej *Księgach Ducha* :

Sam sobie brama i sam sobie droga,
Raz tylko wyszedłem z Boga.
Jeden on tylko dech swój dał
Dla wszystkich dusz i wszystkich ciał,
Raz tylko palce tworzące
Umaczał w glinie
W zaraniu dnia,
A kształtów wszech tysiące
I w pierwininie
Wyrzeźbił — ja.

I dalsze objawienie Lykofronowi:

A nie widziano przez wieki,
Aby ten upadł,
Kto jasne życia ognisko w piersi rozpałił
I przy najwyższym swem prawie, przy prawie życia stał silnie,
I tchnął płomieniem w błękitny
I w ziemię wrastał,
A w czasów swoich przeczeniu nie żył ni chwili.

nienawiści jest (a zaś miłości mocą jest), *Harfę ty nosisz*, *Przez czasy, przez stulecia* (idzie anioł niosący szatę pełną kwiecica i idzie anioł, co wichrem wali czarne lasy). *W przestrzeniach nieskończonych* (nie mogą stracić siebie — nie mogą znaleźć siebie) i t. d., i t. d.

Ostatni wiersz mógłby być teoretyczną podstawą do pochwały Tytanów. W jednej linii stoją u Konopnickiej i inni przeczący dniom swoim: Hus, Galileusz, Hypatja. Dwoistość zaś — znowu dwoistość — oddychania płomieniem w błękity i wrastania w ziemię, to kanwa całej jej twórczości ze skalą od *Sybilli* po pachnący miodem cykl *Ku chacie*, to — na gruncie jej mistycyzmu — dramatyczne sprzęgnięcie: duch i proch.

Dotychczasowe uwagi dokładnie wykazały nam, że nie z myślą nastawioną krytycznie przystępować mamy do jej *Lykofrona*, jeśli chcemy ocenić całą jego artystyczną świetność. Idee, gdy ich nie będziemy zbyt surowo wbijali na gwoździe logiki, przechodzą tam szeroko nad obszarem ludzkości, układając się w naczelną prawdę, niby odbitą od więziennego okrzyku Konrada: „człowieku, gdybyś wiedział, jaka twoja władza!“. Co za znakomity wzrost tonu od zdania „czemże są bowiem bogowie, jeśli nie kłamstwem dla niewolników?“ do „czemże i samo jest nawet Fatum wieczyste?“, chociaż pojęciowo niema tu żadnej gradacji, jak przejmujący akord strofy „bogowie nawet upadli, iż zbrakło siły“... Tętno poetyckie wzmagą się z taką maestrią, że towarzysząc coraz wyższemu biciu fali, zapominamy o usłyszanej przed chwilą tajemnicy: czemuż są bowiem bogowie, jeśli nie kłamstwem“. A po wspięciu się do apogeum, po przejściu całej wagi świata na stronę ludzką, przeszywające w swojej nagłości jasnowiedzenie, po którym

Upadł na twarz Lykofron i Grecji płakał.

Albowiem Grecja zginęła przeto, że „zbrakło jej siły, która ukrzepia i nieśmiertelność udziela ludom“. Komentarzem może być jeden z utworów poetki z doby ostatniej:

Wyroczny klucz żywota
W narodów ręku leży,
Sam lud otwiera wrota,
Sam lud otwiera dźwierzy.

I żadna Jeruzalem
Śród gromów ewych nie padnie,
Dopóki naród czuje,
Że kluczem życia władnie.

(*Wyroczny klucz żywota*)¹⁾.

Ta sama prawda brzmiała już w *Psalterzu wieków*, w dialogu Ojczyzny z ludem. Ale natrafiamy na głos jeszcze bliższy. Po objawieniu prawa bytu przez Fatum, Lykofron zapłakał — nad Grecją. Po otrzymaniu iskry od Prometeusza Syzyf Konopnickiej przejrzał w ciemnicy niedostępne mu dotąd warunki własnego istnienia. „I zobaczyłem — powiada — że to, co miałem za głązy, było nędzą moją, a to, co zdawało się szczytem, było głupotą moją, a to, co zdawało się przepaścią, było krzywdą moją. Padłem tedy i gorzko płakałem”. Różnica jest jedynie ta, że tu budzi się samowiedza na piętze materji, czy prochu, mówiąc terminem Konopnickiej, i jest drogą ku występкови, u Lykofroma budzi się na wierzchołkach ludzkości i jest jękiem najszlachetniejszej struny ducha²⁾. Wszelako prawda przejrzana jest w obu wypadkach, jedna i ta sama. Poza nami istnieje tylko to, co sami stwarzamy. Słabość i nieświadomość obstawiają nas

¹⁾ Identycznie ten sam pogląd wypowiada Asnyk w sonecie XXIX *Nad głębiami*: „Póki w narodzie myśl swobody żyje“, gdzie jeszcze o wiele mocniej niż Konopnicka zapewnia, że „zginąć on może z własnej tylko ręki“ i przez „dobrowolne samobójstwo ducha“.

²⁾ Daje się dostrzec pewna analogja między fundamentalnym dwudziałem ludzkości u Konopnickiej na górę: wielkie światłonośne jednostki, i dół: niezbudzoną przez ducha masę, a dwoistością Asnyka, zaznaczoną w dopisku na str. 65—66: przodowników i zanurzoną w codzienności gromadą. Tylko u Konopnickiej, woluntarystki, jedna strona widnieje w dążeniu, druga w niewolniczym, bezmyślnym trudzie; z zetknięcia się obu wypadła czyn, zły skutkiem nędznej jakości „dołu“, czyn - społeczna katastrofa, którą zatem poetka akcentuje od strony z e w n ę t r z n e j. Przeciwnie w Asnyku szepce troska o w e w n ę t r z n ą możebność życiowego ustawienia się tłumu, skoro most życia rzucony jest nad tajemnicą, w którą nie każde oczy zdolne są patrzeć. To też Asnyk ostrzega przodowników przed upodobnieniem bezimiennnej tłuszczy do siebie, nie iżby, jak Prometeusz, mieli wychować światu podpalaczy, ale „żeby w drodze nie zgubić nikogo“, nie unieszczęśliwić tych, których jedynie ciemność chroni przed rozpaczą.

wałem wrogiej zewnętrzności, wola i jej samowiedza, im doskonalsze, tem bardziej rozluźniają dokoła nas przestrzeń, aż ukazą olbrzymi, wolny świat, w który my, „duchy-twórcy”, wysyłamy wykwitłe nam z serca kształty i kolory.

Asnyk nadał tej przestrzeni pewien rytm nieunikniony i nieodwracalny — rozwój. Konopnicka, choć jak wiemy i dla niej rozwój, inny, psychiczny, jest jedynym pulsem żywota, tu specjalnie, w *Lykofronie*, odwraca nieostrożnie tor-czas¹⁾. Łamie się w anachronizm i realny czas historyczny w zachwycającym zresztą malarsko obrazie czerwonej gwiazdy z Betleem i wielkiego cieniu krzyża, który pada na Olimp z Golgoty, czyli pada czasowo wstecz, na Grecję gwarną od sporów sofistów, i łamie się czas logiczny, rama dla myśli. Bunt Tytanów uczynił przeszłość wyższą od terażniejszości, do tego wzoru trzeba się dopiero drugi raz dociągnąć, zatem nie było rozwoju, tylko upadek. Ale tak być musi i jest w systemach metapsychicznych, gdzie upadki i wznoszenia uzależnione są od jakości dusz²⁾, jest więc i w poglądzie teozoficznym Konopnickiej. Ciągłe ostrzega ona przed twardnieniem w zmartwiały pień, każe żywej, wiosennej oskole bezustannie przepływać przez duchy, czuwa, nawołuje, krzesze ów znany nam już rozmach i pęd. I tu fakt pozornie prawie nie do zrozumienia: droga, cel tego pędu, wobec samej za-

¹⁾ Zauważmy, że u Asnyka w *Lykofronie* mamy jedynie czysty schemat dziejowy. U Konopnickiej w takie postawienie kwestji wcina się kilkakrotnie realny, konkretny czas, w którym rozegrała się rzeczywista historia, czy u którego początku wstawiona była pewna poszczególna (grecka) mitologia. U Asnyka Olimp to symbol, u Konopnickiej Olimp, w przeciwstawieniu z Golgotą, to przeżyta historia. Tak samo Tytani, to, jak wspomniałam, „konkretna“ mitologia. Zauważmy jeszcze, że gdy, przeciwnie, tłumaczenie bogów przez Asnyka jest wyjaśnieniem przebytej naprawdę ery ducha ludzkiego, rozumienie ich przez Konopnicką jako wytworu naszej słabości podkreśla tylko pewien rys psychologiczny, ale filozoficznie i poznawczo tak głęboko jak Asnyk kwestji nie stawia.

²⁾ Upadki i wznoszenia się, uzależnione od jakości dusz, są u Konopnickiej poniekąd odpowiednikiem epok schyłkowych u Asnyka i epok rozkwitu, tylko, raz jeszcze na tym, jak i na każdym przykładzie wykazujemy, że u niego wszystko ściśle zbudowane jest na kośćcu prawa, u niej rzucone na traf i dobrą wolę.

I żadna Jeruzalem
Śród gromów swych nie padnie,
Dopóki naród czuje,
Że kluczem życia władnie.

(*Wyroczny klucz żywota*)¹⁾.

Ta sama prawda brzmiała już w *Psalterzu wieków*, w dialogu Ojczyzny z ludem. Ale natrafiamy na głos jeszcze bliższy. Po objawieniu prawa bytu przez Fatum, Lykofron zapłakał — nad Grecją. Po otrzymaniu iskry od Prometeusza Syzyf Konopnickiej przejrzał w ciemnicy niedostępne mu dotąd warunki własnego istnienia. „I zobaczyłem — powiada — że to, co miałem za głazy, było nędzą moją, a to, co zdawało się szczytem, było głupotą moją, a to, co zdawało się przepaścią, było krzywdą moją. Padłem tedy i gorzko płakałem”. Różnica jest jedynie ta, że tu budzi się samowiedza na piętze materji, czy prochu, mówiąc terminem Konopnickiej, i jest drogą ku występкови, u Lykofroma budzi się na wierzchołkach ludzkości i jest jękiem najszlachetniejszej struny ducha²⁾. Wszelako prawda przejrzana jest w obu wypadkach, jedna i ta sama. Poza nami istnieje tylko to, co sami stwarzamy. Słabość i nieświadomość obstawiają nas

¹⁾ Identycznie ten sam pogląd wypowiada Asnyk w sonecie XXIX *Nad głębiami*: „Póki w narodzie myśl swobody żyje“, gdzie jeszcze o wiele mocniej niż Konopnicka zapewnia, że „zginąć on może z własnej tylko ręki“ i przez „dobrowolne samobójstwo ducha“.

²⁾ Daje się dostrzec pewna analogja między fundamentalnym dwudziałem ludzkości u Konopnickiej na górę: wielkie światłonośne jednostki, i dół: niezbudzoną przez ducha masę, a dwoistością Asnyka, zaznaczoną w dopisku na str. 65—66: przodowników i zanurzoną w codzienności gromadą. Tylko u Konopnickiej, woluntarystki, jedna strona widnieje w dążeniu, druga w niewolniczym, bezmyślnym trudzie; z zetknięcia się obu wypadła czyn, zły skutkiem nędznej jakości „dołu“, czyn - społeczna katastrofa, którą zatem poetka akcentuje od strony z e w n ę t r z n e j. Przeciwnie w Asnyku szepce troska o w e w n ę t r z n ą możebność życiowego ustawienia się tłumu, skoro most życia rzucony jest nad tajemnicą, w którą nie każde oczy zdolne są patrzeć. To też Asnyk ostrzega przodowników przed upodobnieniem bezimiennnej tłuszczy do siebie, nie iżby, jak Prometeusz, mieli wychować światu podpalaczy, ale „żeby w drodze nie zgubić nikogo“, nie unieszczęśliwić tych, których jedynie ciemność chroni przed rozpaczą.

wałem wrogiej zewnętrzności, woła i jej samowiedza, im doskonalsze, tem bardziej rozluźniają dokoła nas przestrzeń, aż ukazą olbrzymi, wolny świat, w który my, „duchy-tworzyciele”, wysyłamy wykwitłe nam z serca kształty i kolory.

Asnyk nadał tej przestrzeni pewien rytm nieunikniony i nieodwracalny — rozwój. Konopnicka, choć jak wiemy i dla niej rozwój, inny, psychiczny, jest jedynym pulsem żywota, tu specjalnie, w *Lykofronie*, odwraca nieostrożnie tor-czas¹⁾. Łamie się w anachronizm i realny czas historyczny w zachwycającym zresztą malarsko obrazie czerwonej gwiazdy z Betleem i wielkiego cieniu krzyża, który pada na Olimp z Golgoty, czyli pada czasowo wstecz, na Grecję gwarną od sporów sofistów, i łamie się czas logiczny, rama dla myśli. Bunt Tytanów uczynił przeszłość wyższą od terażniejszości, do tego wzoru trzeba się dopiero drugi raz dociągnąć, zatem nie było rozwoju, tylko upadek. Ale tak być musi i jest w systemach metapsychicznych, gdzie upadki i wznoszenia uzależnione są od jakości dusz²⁾, jest więc i w poglądzie teozoficznym Konopnickiej. Ciągłe ostrzega ona przed twardnieniem w zmartwiały pień, każe żywej, wiosennej oskole bezustannie przepływać przez duchy, czuwa, nawołuje, krzesze ów znany nam już rozmach i pęd. I tu fakt pozornie prawie nie do zrozumienia: droga, cel tego pędu, wobec samej za-

¹⁾ Zauważmy, że u Asnyka w *Lykofronie* mamy jedynie czysty schemat dziejowy. U Konopnickiej w takie postawienie kwestji wcina się kilkakrotnie realny, konkretny czas, w którym rozegrała się rzeczywista historia, czy u którego początku wstawiona była pewna poszczególna (grecka) mitologia. U Asnyka Olimp to symbol, u Konopnickiej Olimp, w przeciwstawieniu z Golgotą, to przeżyta historia. Tak samo Tytani, to, jak wspomniałam, „konkretna“ mitologia. Zauważmy jeszcze, że gdy, przeciwnie, tłumaczenie bogów przez Asnyka jest wyjaśnieniem przebytej naprawdę ery ducha ludzkiego, rozumienie ich przez Konopnicką jako wytworu naszej słabości podkreśla tylko pewien rys psychologiczny, ale filozoficznie i poznawczo tak głęboko jak Asnyk kwestji nie stawia.

²⁾ Upadki i wznoszenia się, uzależnione od jakości dusz, są u Konopnickiej poniekąd odpowiednikiem epok schyłkowych u Asnyka i epok rozkwitu, tylko, raz jeszcze na tym, jak i na każdym przykładzie wykazujemy, że u niego wszystko ściśle zbudowane jest na kośćcu prawa, u niej rzucone na traf i dobrą wolę.

sady ruchu mają znaczenie drugorzędne. Znów parę ilustracji z *Głosów ciszy* i z *Ksiąg ducha*.

I nie miej o to żadnych trwóg,
Czy drogowskazy stoją,
Gdzie puścisz wolę twoją:
Wie ptak, gdzie lecieć w jug.

Lub jeszcze wyraziściej:

Idź żołnierzu! Nie pytaj, gdzie cię wiodą zorze
Przez rubinowe wrota
I gdzie się gwiazda twoja wytli modro-złota,
A strząśnie skry gasnące w ukojenia morze.
Ścieżka, co cię wywiedzie
Ze wszystkich życia dróg,
Z wszystkich doświadczeń człowieka,
Z całego widnokregu na ziemi i niebie
I ze samego siebie
Za lazurowy próg —
Ta nie leży po przedzie,
Ni za tobą, ni z boku,
Ni w głębi, ni na widoku,
A nie jest ani bliska, ani też daleka.

Dziwne zaiste przewodnictwo, jeśli nie przejrzymy, że świata poza nami niema, a przynajmniej w idealnych warunkach byćby go nie powinno. Przykład ostatni wprawdzie, w znanym nam już dualizmie Konopnickiej, mówi o drodze w ciszę, na brzegi gdzieś boże, jak inne mówią o drodze w wielkie duchów wszechognisko, jak Fatum mówi o drodze w siłę, lecz są to tylko ześpiewane ze sobą wiolin i bas jej mistycznej melodji. W jednym czy drugim kluczu idzie mi wyłącznie o wykazanie tej zupełnej immanencji, tego wyjścia poza wszelkie prawo, krom jedyne go prawa: posłuszeństwa samemu sobie:

Duch jest jako wody rzek,
Pątnikiem — oraz drogą,
Nie trzeba mu nikogo,
Sam znajdzie sobie bieg.

I jeszcze jeden ubytek przy przejściu od Asnyka do Konopnickiej: z całego istnienia wyjęty jest szkielec prawa.

Prawu poświęciła poetka pisany w Rzymie wzniosły cykl *Lex*. Nie odchodzimy w nim daleko od widnokągu, pod którym umieściły nas wiersze mistyczne oraz *Lykofron*. Prawo dla Konopnickiej to wyłącznie prawo ludzkie, stworzone przez człowieka i dla człowieka, przez mocnego dla bezbronного, przez krzywdzącego dla krzywdzonego, istnieje, aby słabych utrzymać w słabości. Adam na całą długość historii bierze w niewolę Ewę, choć duch jej wyższy jest od jego ducha; Manu, mąż boży, na wieki zakuwa czandalów w klątwę swego prawodawstwa. Raz tylko widzimy prawodawcę Boga. To Jehowa, który swój lud wybrany rzuca w rozproszenie i na pastwę innym, szczęśliwszym narodom (*Szekinah*). Tak, ale to nie jest ogólne prawo boże, to tylko dar jednego Boga dla jednego narodu, który widocznie zasłużył nań słabością: nie umiał władać wyrocznym kluczem żywota.

A teraz co podyktowało Konopnickiej replikę na wiersz Asnykowski? Zapewne jego powagę wyczuła jako posępnosć. W swoim studjum o nim nazwała późniejszą twórczość poety przygnębiającem organowem misterjum. Była świadoma różnicy tonu między nim, skryształonym już w filozoficzny kształt, a sobą, kąpiącą się w nowem świetle mistycznego poranka, kiedy od słońc do słońc zaczęła się złościć krata jej śpiewających strun. Zapragnęła wpuścić promień poranny do jego mrocznego kościoła, zapragnęła zalać jego organowy minor swoim wiosennym majorem.

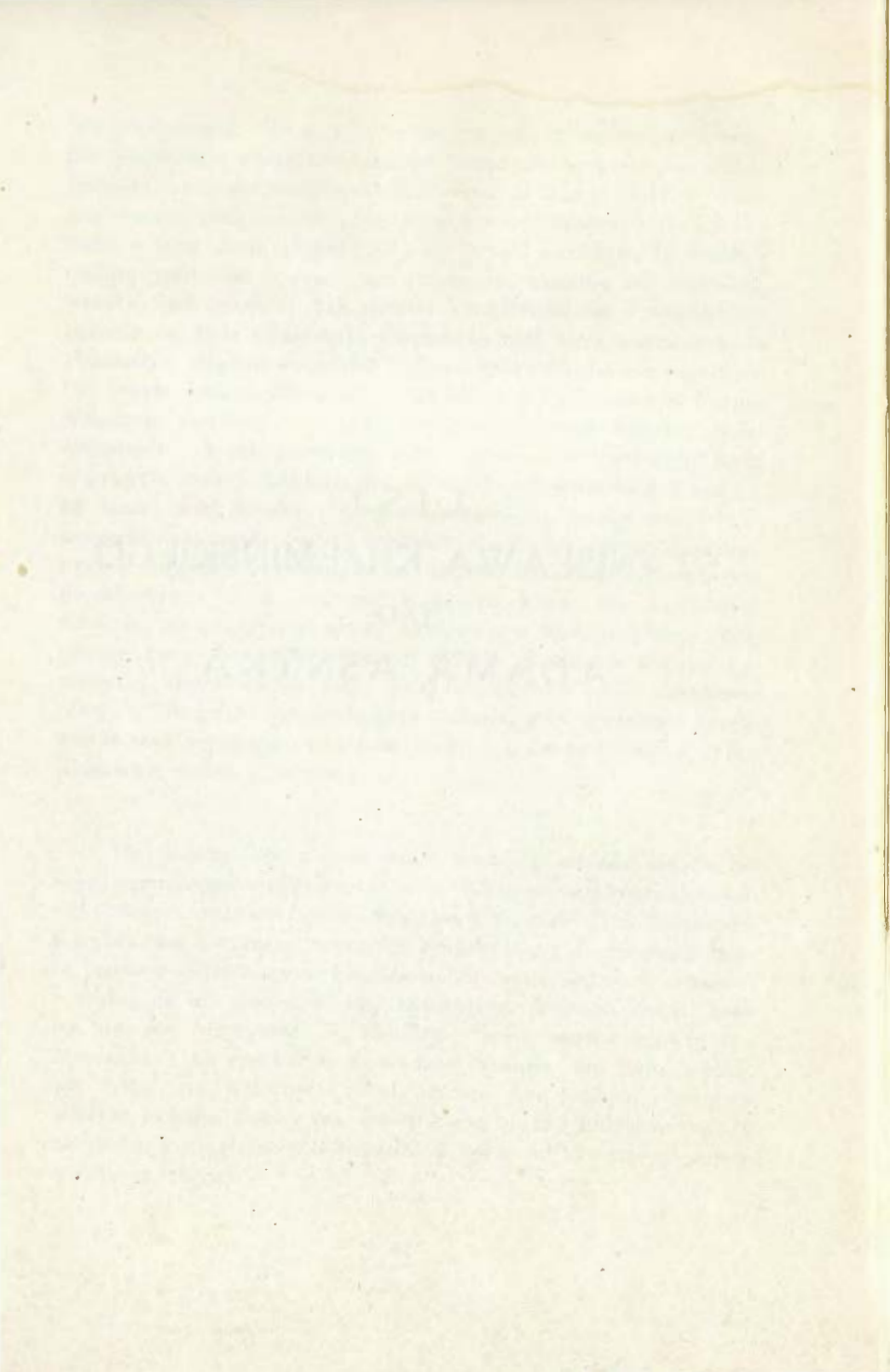
Czy tak się stało?

Widzieliśmy, że w pierwszym momencie woluntarystyczne stanowisko Konopnickiej daje poczucie jędrności, wystawia nas na podmuch mocy. Pełne ufności oparcie się o instynkt, niezawodny jak w lecącym na wyraje ptaku, dostrzeżenie berła światów we własnej dłoni, wlewa nam więcej ciepła do żył niż wypracowane myślą Asnykowskie przekonanie o jednogodności naszych przeznaczeń z całym pozaludzkim bytem. Ale niedarmo radziłam zdmuchnąć

latarkę krytyki. Bo gdy ją teraz rozpalimy na nowo, wystąpią podwójnie silnie owe pętlice logiczne, w które się kilkakrotnie zaplątała poetka. Dobrze wyczuł Krzemiński w wierszu swego przyjaciela tryumf nad pesymizmem i radził mu dalej z taką samą pieśnią siły iść przed narodem. U Konopnickiej tymczasem grunt, po zbadaniu, okazuje się usypisty, wszelki ład zawodzi. Jak dzwon brzmi hołd dla Tytanów, ale przecie oni byli pokonani! Zaciężyło nad nimi wieczną karą „kłamstwo dla niewolników”, Zeus, który chyba nie powinien był wcale istnieć dla nich — mocarzy. I Lykofronowi Fatum wskazuje prawdę, ale odkrycie jego, zamiast radości, rodzi cierpienie. A jak pierwsze słowa utworu, o Tytanach, były w gruncie rzeczy hołdem dla pobitych, tak i ostatnie, o Grecji, są łzami nad klęską. Niespodziewana u / snyka zapowiedź końcowa zerwania Fatum i wzejścia na jego ruinie boskiego prawa miłości i rozwoju, była rozpromienieniem stanowiska, zwycięstwem, i to opartem o prawo, które nie zawiedzie. Równie niespodziany akord końcowy u Konopnickiej, przeciwnie, po radzie siły, zamiast ukazać dziejowy proces narastania, dojrzewania siły, ukazał „bólów ból”, narodową niewolę. A gdzie rękojmia wyzwolenia, gdy wszystko zostawione wewnętrznemu zasobowi dusz, a prawdę przejrzał tylko Lykofron, jeden i jedyny?

Dobiegając kresu tych stron, wiem, że daleka jestem od wyczerpania materiału. Staralam się wykazać, że dwugłos doskonale służyć może za bramę wejściową w głąb dwu twórczych psychik, ku dwom odmiennym krajobrazom duchowym. Jest to jedna z ciekawszych klamer natchnienia w poezji polskiej i zasługuje na poważniejsze spojrzenie, którego dotąd nikt na niej nie zatrzymał. A choćby — jeśli znowu mówić ma Słowacki — to spotkanie w wyższej krainie nie było walką, ale tylko grą kolorów i cieni, dumni być możemy, że dwa wielkie polskie duchy tak świetną grę cieni i kolorów rzuciły na jedno z najgłębszych zagadnień, jakie od tysiącleci towarzyszą ludzkości.

LIST
STANISŁAWA KRZEMIŃSKIEGO
DO
ADAMA ASNYKA



Kochany mój Adamie¹⁾,

Okazuje się, że albo Gustaw²⁾ wcale do Ciebie po odebraniu Twego listu z utworami poetyckimi nie pisał, albo też, pisząc, nie przeprosił odemnie, że nie tak prędko jeszcze z powodu zajęć dam Ci słowo od siebie. Dziś, otrzymawszy nowy list Twój, z dn. 21 stycznia z precudną, tytaniczną apostrofą Lykofrona do Fatum, — jakżebym jeszcze mógł milczeć? Dziękuję Ci, mój najdroższy (boję się zawsze bardziej uczuciowego wyrażenia, aby nie być kobietą — ale mi tę kobiecość, jeśli ona jest w listach do Ciebie, wybaczać powinienś) i za pamięć i za upominek z nowego promienia talentu Twojego. Powagą i rytmicznością swoją jakąś grecką, obywatelką się bez rymów, nowy ten utwór tak jest pięknym i oryginalnym, że nie wiem, do czego bym go mógł w literaturze naszej przyrównać. Cieszę się niezmiernie z tej potęgi talentu Twego, która coraz nowe formy dla natchnienia zdobywa. O treści już nie mówię, — bo bez pochlebstwa, takiej myślącej poezji jak Twoja nie znam w dzisiejszem pokoleniu. Tyś przywiódł rozum i wyobraźnię do przymierza miłosnego, Tyś umiał serce z rozumem pogodzić, i chociaż myślicielem jesteś, w tem, co tworzysz, nie znać analizy myślowej; doskonała jedność artystyczna, przy rzetelnem tylko natchnieniu i wysoko udoskonalonem rymotwórstwie możebna, panuje w tem co tworzysz. Liryka Twoja ma tę prawowitość rodu, której cechą jest charakter pieśniowy. Nie rozumujesz nigdy; nawet wtedy, gdy rozumowi największy udział w pomysle

¹⁾ W liście zachowuję nietkniętą pisownię i przestankowanie autora.

²⁾ Fritsche.

dajesz, powiedziałbym, że rozum Twój nie rozumuje, ale śpiewa. Jednem słowem jesteś synem nieba, i łaskę i moc nieba w sobie masz. Tego Ci nikt nie wydrze już chyba: potwór życia jest chyba dla Ciebie nie groźny. Przeszedłeś góry i przepaście, wiesz, co to ogień duchów i łyż duchów. *Czarodziejka*³⁾ dała Ci wszystko, nawet sławę, i tej Ci nie odbierze. Doszedłeś do lat męzkich, w których człowiek tem doskonalszym artystą być może, im mniej dla samego siebie pożąda. Więcej przez to może dawać ideałom swoim. Nie pozbyłeś się idealizmu t. j. zdolności odczuwania tego co niebieskie w rzeczach ziemskich: możesz i powinieneś być poetą w wieku dojrzałym, jak byłeś w młodości swojej. Synu nieba! śpiewaj nam długo i wierz w to, że serca ludzkie rozumieją Ciebie, słuchają i kochają głos Twój. Wierz w siebie, tak jak ja w Ciebie wierzę — Boże mi dopomóż — to, com napisał było tylko lekką przestrogą przyjaźni, abys w żadnych, najszlachetniejszych nawet stosunkach towarzyskich nie tonął z istotą swoją, abys zachował energję i autonomję ducha. Ale ja i wtedy wierzyłem i dziś wierzę w tego Prometeusza, którego masz w sobie. Szturmować do nieba — to prawdziwe zadanie poety. W Tobie właśnie ci, co Ciebie rozumieją, widzą takiego gwałtownika. Jeżeliby poeci nie podnosili nas w górę, coby być musiało z nami, zwykłymi śmiertelnikami? Trudy życia i troski rozumu i cała najwydatniejsza nawet wiedza w ziemię wtłoczyłyby nas musiały. Ma i ziemia zadania swoje a więc i prawa do człowieka; ale my pospolici kowale i kopacze tylko przy świetle przez was rozpalonem pracować możemy. Kocham taką poezję, wielbię częściej jak bóstwo, która ludzi nie przejmuje niewiarą trwałą i umie odróżnić pesymizm chwilowy szlachetnego uczucia od trwałego ubóstwa ideałów. Wiem też żeś i Ty nieraz w struny zwątpienia uderzył, ale znać było w tem tylko boleść duszy do ideału przywiązanej. Pesymizm aniołów jest najszczytniejszym idealizmem i innego nie chcę. Nie lubię tylko rozma-

³⁾ Aluzja do wiersza Asnyka pod tym nagłówkiem.

zanego liryzmu, narzekającego na własne nieszczęścia, nie lubię poezji egotycznej i przeklinania świata dlatego, że jakiś drobny na nim pyłek czuje się źle umieszczonym. Tem większe jest zadanie i tem wyższa zasługa poezji dodatniej, im powszechniejsza zdaje się choroba, na którą lekarstwem tylko właściwe wychowanie dusz, wykształcanie charakterów być może, w czem właśnie poezja miłośna prawdziwa dobra i piękna natchniona wiele spełniała zawsze i spełnia. Wy poeci, jesteście współwychowawcami ludzkości przez to, że ukazujecie jej niebo nad ziemią, nawet wtedy, gdy pozornie niebu przeczycie. Nie znam silniej do ideałów rozpalającego wiersza nad *Rezygnację*, jakkolwiek tu ideały do grobu są składane. Mielizbyśmy na to żyć na ziemi, aby sobie mówić, że na niej żyć nie warto? Czyliż nie rozumniej wtedy byłoby przyjąć stoickie: Exitus patet! i samobójczo wydierać sobie życie? Co do mnie nigdy pesymizmu inaczej jak tylko egoizmem wytłomaczyć sobie nie umiałem. Nie mogę inaczej pojąć tego stanu duchowego, w którym człowiek nie chce i nie kocha niczego, tylko w ten sposób, że taki człowiek kocha jedynie siebie i chce tylko dla siebie. Proste przykazanie miłości bliźniego, ze wszystkimi głównymi jej odmianami, jeśli tylko żywem w duszy będzie, od pesymizmu uchronić musi. Pesymiści, dążąc do nirwany, nie uważają, że przez samo to dążenie już ją mają w sobie... Otóż mój kochany Adamie, jako poeta powołanym jesteś przez Rząd Świata do walki z pesymizmem, z czczością wszelką, z niewiarą wszelką, z poziomością wszelką i ciasnotą serc i umysłów. Jakże się cieszę, że to posłannictwo swoje spełniasz! Życie nie jest przybytkiem rozkoszy, świat nie jest jasnością samą. Brudno na nim, ciemno, zimno — nieraz samotnie — ach, jak samotnie! — cóż będzie, jeśli czyści, jaśni i gorący drętwieć i uciekać z niego będą?

Czuję się lepszym, szczęśliwszym, po każdej z Tobą rozmowie Wybacz mi więc te bazgroty, bezładne, niekształtne, może nawet nietrzymające się kupy. Tak rzadko można mieć towarzystwo duchów! Gustawowi powiem, że cię przez kilka dni, od pierwszego począwszy, nie będzie w Krakowie. Wybiera się ciągle. Z kim się żeni Sokołowski?

Czarodziejka wydrukowana już w tym numerze. *Szczęśliwa młodość* złożona. *Rückerta* zachowuję na później. Teraz chciałbym się otrzymanym upominkiem podzielić z czytelnikami.— Czy pozwolisz drukować; istota tego utworu czysto przedmiotowa w zasadzie nie pozwala mi wątpić o Twojem zezwoleniu. Dla porządku wszakże stawiam Ci prośbę niniejszą, abyś drukować pozwolił.

Jak tylko coś napiszesz, a za odpowiednie uznasz, nadsyłaj.

Twój zawsze brat

Stanisław

D. 25/1 79 r.



Miejska Biblioteka Publiczna
w Kaliszu

II 033726 U



001-033726-00-0